Wesołych świąt, dobrego wypoczynku życzy „Kamena”

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 14.IV.1968 Nr 8 (389) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

MILIARDY DLA STUDENTÓW

Jerzy Dostatni

MOŻE to zabrzmi trochę dziwnie, ale w pewnym sensie każda wyższa uczelnia jest także przedsiębiorstwem. A więc jednostką, której powstanie wymaga najpierw nakładów inwestycyjnych, potem środków na podjęcie i utrzymanie produkcji, a wreszcie nadchodzi czas na obliczenie zysków. W przedsiębiorstwie przemysłowym sprawa jest raczej prosta — wszystko sprowadza się do bilansowych złotówek oraz zaspokojenia pilnych społecznie potrzeb. Oczywiście w wypadku wyższej uczelni rzecz poważnie się komplikuje, można bowiem dokładnie obliczyć nakłady inwestycyjne i środki na produkcję bieżącą, natomiast podsumowanie zysku w postaci setek czy tysięcy absolwentów oraz takiej czy innej liczby prac naukowych umyka zwykłym kryteriom ekonomicznym.

Pozostawmy chwilowo na boku sprawę zysku. Ale chyba interesujące nas wszystkich jest pytanie, jakie sumy dajemy co roku na utrzymanie — jeżeli tak można powiedzieć — bieżącej produkcji naszych wyższych uczelni. Otóż w wypadku samego tylko Lublina są to sumy zaskakująco wysokie. Od wielu lat zajmuję się sprawami gospodarczymi Lubelszczyzny, co pewien czas robię wypady do wielkich przedsiębiorstw w innych województwach. Ale tak bardzo i tak systematycznie dofinansowywanego „przedsiębiorstwa" nigdy nie udało mi się napotkać.

Otóż na utrzymanie państwowych wyższych uczelni Lublina my, to znaczy starsze, pracujące społeczeństwo, dopłacamy w roku bieżącym: do UMCS — 100 mln zł, do WSR — 60 mln zł, do AM — 47 mln zł, do WSI — 20 mln zł. Razem w ciągu jednego tylko roku do czterech uczelni łącznie 227 mln zł. Powiedzmy wyraźnie — są to sumy budżetowe na płace personelu naukowego, utrzymanie czynnych już gmachów, uzupełnianie pomocy naukowych, stypendia studenckie, dopłaty do stołówek, opiekę lekarską itd. Sumy te z roku na rok wzrastają w miarę wzrostu liczby studentów, powstawania nowych wydziałów czy katedr, unowocześniania i wzbogacania pomocy naukowych. W bieżącej pięciolatce łączna suma dopłat znacznie przekroczy miliard złotych. Znaczy to, że każda z osób, pracujących w województwie, na utrzymanie tych uczelni daje co roku 640 zł. Daje pośrednio — w formie zmniejszonych zarobków. Niezależnie od tego, czy ktoś z rodziny studiuje czy nie.

(Dokończenie na str. 3)

Fot. A. Polakowski

Gdy do głosu doszedł rozsądek...

Marek Adam Jaworski

POWOLI opadły namiętności, do głosu doszedł rozsądek. Przemówienie Władysława Gomułki — jak słusznie stwierdziła „Polityka" — było stanowiskiem, na które czekał naród. Wiele spraw jest już dla wszystkich jasnych, chociaż wiele nadal oczekuje przemyśleń i wnikliwych analiz.

Jeszcze raz okazało się, że nie można pewnych problemów przemilczać. Na braku informacji lub na informacji spóźnionej żerują ośrodki wrogiej propagandy, spece od wojny psychologicznej, którzy nie przebierają w środkach, gdy chodzi o ich cel zasadniczy — rozbicie spoistości obozu socjalistycznego, wbicie klina między partię a społeczeństwo. W dniach marcowych tzw. rozgłośnia polska radia Wolnej Europy dwoiła się i troiła; sącząc truciznę usiłowała żerować na uczuciach ludzkich, podniecać serca i umysły, siać niepokój i zwątpienie. Z braku konkretnych faktów Wolna Europa niejednokrotnie preparowała swoje doniesienia z Polski opatrujące je słowami: „podobno", „pewien korespondent donosi", „rozeszły się pogłoski" itp. Rozgłośnia w specyficzny sposób komentowała też doniesienia naszej prasy, wyciągając z tekstu te fragmenty, które były jej na rękę. Tak stało się na przykład w wypadku artykułu w lubelskim „Sztandarze Ludu" na temat wiecu w Chatce Żaka. Wolna Europa podkreśliła, że wiec był legalny, że przy wejściu sprawdzano legitymacje studenckie. Przytoczyła niektóre wypowiedzi, krytykowane przez „Sztandar", sprawiając na przeciętnym słuchaczu wrażenie, jak by to sam przedstawiciel monachijskiej rozgłośni przebywał na sali. A później nastąpiło klasyczne oszustwo: Wolna Europa podała nazwiska studentów, którzy zostali rzekomo ukarani przez kolegia orzekające za udział w tym legalnym wiecu. Nazwiska się zgadzały, zostały zaczerpnięte z innego numeru „Sztandaru Ludu", istotnie chodziło tu jednak o nielegalną manifestację w dniu 11 marca, a nie o legalny wiec, który odbył się 13 marca.

Oczywiście my w Lublinie łatwo poznaliśmy się na mistyfikacji, trudno jednak oceniać, jak przyjęli to np. niektórzy studenci warszawscy.

Pozostawmy jednak na boku Wolną Europę, której już raz poświęciliśmy osobny artykuł. Chodziło wówczas o to, jak ta rozgłośnia naświetlała wydarzenia na Bliskim Wschodzie.

To, co w marcu zdarzyło się na uczelniach warszawskich i w niektórych innych ośrodkach akademickich naszego kraju, znalazło szerokie odzwierciedlenie w naszej prasie. Dziś, oczywiście, można dyskutować na temat tego, czy wszystkie artykuły, a zwłaszcza pierwsze doniesienia, pierwsze relacje dziennikarskie, pierwsze komunikaty były najszczęśliwiej zredagowane. Na pewno należy mieć pretensje do prasy lubelskiej, chociaż nie ona sama tu zawiniła, że pierwsze wiadomości o wydarzeniach na Uniwersytecie Warszawskim ukazały się dopiero we wtorek, a więc z trzydniowym opóźnieniem. To pozwoliło na wzniesienie się fali plotek, wzmogło dezorientację. Szczególnie odbiła się ona na rzeszy studenckiej: doszło do zorganizowania nielegalnego wiecu w miasteczku uniwersyteckim, co w konsekwencji, gdy uformował się pochód w kierunku miasta, pociągnęło za sobą interwencję aktywistów robotniczych i MO. Interwencja była zdecydowana, ale — podkreślmy to — bez użycia siły fizycznej.

Rozmawiałem później ze studentami, uczestnikami owego wiecu. Kiedy byli sami, wyglądali jak dzieci. O co im chodziło? Ktoryś bąknął, że o „Dziady", że niby państwo zakazuje wystawiania dramatu Mickiewicza, a więc trzeba protestować. „Kiedy ostatni raz czytałeś „Dziady"? — zapytałem. Mój rozmówca się zmieszał. „No, przerabialiśmy w szkole". „A pamiętasz może jakiś fragment?" Milczenie. Inny znów stwierdził: „Koledzy szli, to i ja z nimi. Chciałem zobaczyć, jak to będzie wyglądać".

Działo się to w mieście, w którym nawet spektakle własnego teatru akademickiego nie cieszą się zbytnią frekwencją. Działo się to w mieście, w którym teatr państwowy stale narzeka na zbyt wiele pustych miejsc na sali. „Chyba, że idzie jakaś komedia, wówczas można podreperować stan kasy" — jak się zwierza dyrektor Torończyk.

A więc rzeczywiście chodziło o „Dziady"? Nie! Chodziło o to, co Machejek nazwał DRAKĄ. Między Bugiem a Odrą trudno nam jednak pozwolić sobie na draki. Nie żyjemy w hermetycznie zamkniętym świecie, w hermetycznie zamkniętej społeczności. Mamy określone miejsce w Europie, określone miejsce w obozie socjalistycznym, określone miejsce w świecie. A w kraju mamy określone jednostki, znane i jeszcze w pełni nie znane — zawiedzionych polityków, różnej maści kombinatorów, jawnych czy ukrytych wrogów socjalistycznej idei, którzy chcieliby piąć się w górę na studenckich barkach. Te barki mogą należeć do studenta, którego trudno nawet nazwać osesklem politycznym, ale również do studenta-rozrabiacza jak i też do studenta z gruntu uczciwego, szlachetnego, o zbyt gorącym sercu, traktującego pojęcie wolności, demokracji jako absolut.

Uprościlibyśmy całą sprawę, gdybyśmy sprowadzili wypadki marcowe do chuligańskich wybryków. Jeśli były chuligańskie wybryki, to nie studenci brali w nich udział. Ale właśnie wskutek nieprzemyślanej postawy dużej części akademickiej braci wypłynęła na ulice Warszawy brudna fala wyrostków tłukąc szyby i demolując lokale publiczne.

Wypadki warszawskie, krakowskie czy lubelskie wykazały — i nie boję się tego słowa — dużą niewiedzę polityczną znacznej części środowiska akademickiego. Jeśli to stwierdziłem, czuję się w obowiązku dodać, że za ten stan rzeczy trudno obwiniać samych studentów. Nasza prasa, radio czy telewizja zrutynizowały się zbytnio. Za mało jest, a przynajmniej było rzeczowej argumentacji, a za wiele słów zużytych, wytartych, brzmiących jak slogan. Działacz partyjny, społeczny, dziennikarz zaangażowany w problemy współczesności to ciągle jeszcze zbyt rzadki gość na uczelniach. Warto by może powró-

(Dokończenie na str. 3)

Dyskusja w Kielcach

Teatr mój widzę ...powszechny

TEATR dramatyczny w przeciętnym mieście wojewódzkim. Poza nielicznymi wyjątkami, jedyna scena tego typu w regionie. Obskurny zazwyczaj budynek, nie najlepsze wyposażenie techniczne. Ciągłe zmiany w zespole aktorskim i na stanowiskach dyrektorskich. Spektakle na miejscu, w bazie, i w terenie; wszędzie tam, gdzie jest niewielka choćby sala. Publiczność zróżnicowana tak, jak to jest możliwe w kraju, który przebył rewolucję socjalną i znajduje się w trakcie głębokich przemian kulturowych. Inteligencja, robotnicy, chłopi, drobnomieszczaństwo. Warstwy społeczne wewnętrznie nie ustabilizowane, przenikające się nawzajem w ciągłym procesie społecznego awansu. Różne poziomy przygotowania do odbioru sztuki teatralnej: najbardziej rozległy reaguje przede wszystkim na repertuar lekki, pod względem artystycznym konwencjonalny.

A naprzeciw ludzie teatru: ich pragnienia osobiste wielkich kreacji w wielkim repertuarze, tonące w zaduchu sali powiatowego domu kultury; ich ambicje nowatorskich inscenizacji, odbite rykoszetem o oparcia pustych foteli; ich świadomość społecznych funkcji teatru; ich satysfakcja z entuzjazmu „terenowej" publiczności. Teatr nieodzownych kompromisów, miejsce godzenia różnych interesów. Można przecież zapytać, czy przy tych wszystkich uwarunkowaniach działalność scen wojewódzkich opiera się na optymalnej organizacji? Warto także zapytać, czy teatry te mają być przede wszystkim placówkami usługowymi w stosunku do najszerszych kręgów publiczności? Chodzi więc o model sceny wojewódzkiej.

Chcąc przynajmniej częściowo naświetlić te zagadnienia, redakcja „Kameny" zorganizowała w kieleckim klubie MPiK dyskusję z udziałem przedstawicieli teatrów dramatycznych Polski wschodniej. Teatr im. Al. Węgierki w Białymstoku reprezentowali kierownik literacki Lech Piotrowski i scenograf Ryszard Kuzyszyn; Teatr im. St. Żeromskiego w Kielcach — dyrektor Stanisław Grywałd, kierownik literacki Ryszard Smożewski, oraz reżyser Andrzej Dobrowolski; Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie — dyrektor Jerzy Torończyk, Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie — dyrektor Stanisław Bieliński. Ponadto w spotkaniu uczestniczyli Maria Matysiak, instruktor Wydziału Propagandy KW PZPR w Kielcach, oraz dziennikarze ze „Słowa Ludu" — zastępca red. nacz. Lech Winiarski i kierownik „Magazynu Niedzielnego" Bronisław Zapała. Redakcję „Kameny" reprezentowali: red. nacz. Marek A. Jaworski i kierownik działu publicystyki Ireneusz J. Kamiński.

M. A. JAWORSKI: Witam Państwa na spotkaniu poświęconym sytuacji scen wojewódzkich Polski wschodniej. Redakcja „Kameny" po raz pierwszy organizuje dyskusję na ten temat, co oczywiście nie znaczy, że sporadycznie tylko interesujemy się życiem teatralnym tego regionu kraju. Powiedziałbym nawet, że dzisiejsze spotkanie jest naturalną konsekwencją redakcyjnej uwagi, z jaką od lat śledzimy to wszystko, co dzieje się na scenach czterech województw.

(Dokończenie na str. 5)

teatrnn.pl

Kultura 1968

Zmarli

31 marca zmarł w Krakowie w wieku 84 lat Bolesław Drobner, zasłużony działacz ruchu robotniczego od lat prawie 70, członek PKWN, współautor Manifestu PKWN, marszałek-senior Sejmu PRL, pierwszy kierownik resortu pracy, opieki społecznej i zdrowia, odznaczony najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Jest autorem bardzo interesujących pamiętników. Był od dziesiątków lat niezwykle czynnym działaczem kulturalnym w Krakowie.

* W Paryżu zmarł w wieku 79 lat Robert Meunier du Houssoy, dyrektor generalny największego we Francji wydawnictwa „Hachette", wnuk założyciela firmy Ludwika Hachette. To on wprowadził na rynek francuski książki o formacie kieszonkowym.

* W USA zmarł w wieku 64 lat Peter Arno, jeden z najbardziej znanych autorów rysunków humorystycznych. Od 1925 r. bez przerwy był współpracownikiem „The New Yorker".

Literatura

* Pod redakcją Józefa Ozgi-Michalskiego i Leopolda Lewina ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego tom poezji poświęconej walczącemu Wietnamowi. Oryginalne utwory o walczącym Wietnamie zamieszczą w tomie m. in. Stanisław Ryszard Dobrowolski, Henryk Gaworski, Jan Maria Gisges, Krzysztof Gąsiorowski, Leopold Lewin, Antoni Olcha, Józef Ozga-Michalski, Leon Pasternak, Halina Poświatowska, Włodzimierz Słobodnik, Anatol Stern, Wisława Szymborska. Autorem słowa wstępnego będzie Jarosław Iwaszkiewicz.

* W Budapeszcie podpisano umowę o współpracy na rok bieżący pomiędzy związkami literatów Polski i Węgier.

* Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski został odznaczony pisarz warszawski Bogdan Żyranik, autor wielu pieśni rewolucyjnych (m. in. o „Czerwonym Pułku Warszawy"), jedyny z żyjących członków ZLP — uczestników Wielkiej Rewolucji Październikowej. Nastąpiło to z okazji jubileuszu 60-lecia pracy pisarskiej.

* Karol Olgierd Borchardt, autor popularnej książki „Znaczy kapitan", przygotowuje tom opowiadań o pierwszych oficerach naszej floty. Inna pozycja pt. „Kolebka nawigatorów" pokaże sylwetki pionierów PMH, którzy związani byli z pracą na morzu pierwszego naszego statku szkolnego „Lwów".

* Nakładem wydawnictwa „Mursia" ukaża się w przekładzie na język włoski dzieła zebrane Józefa Conrada w 4 tomach. Układ utworów jest chronologiczny, każda książka zaopatrzona jest w liczne noty informacyjne.

* Zmarły przed kilku laty poeta ukraiński Maksym Rylski pozostawił wielką liczbę rękopisów. Ostatnio synowie poety przekazali to archiwum Instytutowi Literatury im. Szewczenki w Kijowie. Zebrane tu materiały odzwierciedlają wielostronną działalność Rylskiego: poety i tłumacza, publicysty i krytyka literackiego, historyka sztuki i działacza społecznego. Archiwum obejmuje m. in. ok. 800 autografów utworów poetyckich. Wśród przekładów z literatury obcej pierwsze miejsce zajmują dzieła Mickiewicza. Za tę pracę Rylski otrzymał nagrodę państwową. W archiwum znajdują się autografy przekładów Szekspira, Dantego, Heinego, Hugo, Moliera, Voltaire'a, Rostanda, liczne przekłady z literatury czeskiej, słowackiej, rumuńskiej, tureckiej i in.

* Dopiero obecnie, po 36 latach, ma być opublikowana powieść, którą Henry de Montherlant napisał w czasie swego pobytu w Algierii. Tytuł „Róża z piasku". Zawiera ona ostre potępienie kolonializmu.

* Laureatem 25 nagrody poetyckiej im Paul Valéry został student uniwersytetu w Lovain w Belgii, Andre Libens, za poemat „Masza z Petersburga".

* Uczniowie szkoły podstawowej nr 8 w Sopocie przygotowali ekspozycję prac malarskich o tematyce olimpijskiej, która będzie zaprezentowana na wystawie malarstwa dziecięcego podczas olimpiady w Meksyku. Niedawno uczniowie tej szkoły na wystawie we Włoszech zdobyli 1 złoty, 2 srebrne i 2 brązowe medale.

Sztuka

* Na konkursie z okazji międzynarodowej wystawy medalu współczesnego w Paryżu specjalne wyróżnienie otrzymał Bronisław Chromy. Medal zostanie wybity przez francuski klub medalierstwa.

* Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zamierza zorganizować w tym roku 14 wystaw indywidualnych i zbiorowych. Będą to m. in. ekspozycje prac plastyków Ziemi Łódzkiej, grafików okręgu wrocławskiego, pokonkursowe przeglądy prac amatorów, związane tematycznie z 25-leciem Wojska Polskiego i 50-leciem Armii Radzieckiej.

* Austriacka firma wydawnicza Carl Ueberreuter zawarła za pośrednictwem Agencji Autorskiej w Warszawie umowę z artystą-grafikiem Januszem Grabińskim. Polski artysta będzie ilustrował dla tej firmy „Kinderkalender 1969".

* Książę Filip otworzył w londyńskiej galerii Grosvenor wystawę „Kronik" znakomitego polskiego artysty Feliksa Topolskiego, zamieszkałego w Wielkiej Brytanii. Ekspozycja obejmuje ponad 200 rysunków i akwarel powstałych w ciągu ostatniego 15-lecia. Na wystawie znalazł się cykl rysunków poświęconych Polsce. Rysunki te ukazują sceny z Warszawy i Kazimierza nad Wisłą.

* Prace nad rekonstrukcją przeniesionej świątyni Abou Simbel na Nilu zbliżają się do końca, tak samo jak przeniesienie 22 innych świątyń w Nubii egipskiej i sudańskiej. Wkrótce rozpocznie się ostatni etap — przeniesienie pomników, znajdujących się na małej wysepce koło tamy assuańskiej, już obecnie zalanych wodą.

* W Genewie znajduje się muzeum starych instrumentów muzycznych. Aby je utrzymać i uchronić przed wykupieniem przez Amerykanów, rozpoczęto w Szwajcarii zbiórkę pieniężną.

* „Dopiero to jest prawdziwie poetycka interpretacja natury" — twierdzi Madd Giannattasio, córka znanego we Włoszech malarza, reklamując swoją wystawę 25 krajobrazów.

Teatr

* „20 lat teatru na Wybrzeżu" — taki tytuł nosi książka Malwiny Szczepkowskiej (Wydawnictwo Morskie). Autorka — krytyk teatralny i reżyser, nie ograniczyła się do monograficznego przedstawienia dziejów teatru Trójmiasta, ale zabarwiła je swoimi wspomnieniami i obserwacjami.

* Tegoroczna seria przedstawień w paryskim Teatrze Narodów rozpocznie się 17 kwietnia i zakończy 15 czerwca. Najpierw wystąpi teatr angielski ze sztuką Szekspira, następnie japońskie marionetki.

* W paryskim teatrze „Athenee" została wystawiona sztuka Juliusza Vartet „Szerokie idee". Jest to komedia satyryczna pokazująca, jak w ramach obowiązujących praw można być bezkarnie nieuczciwym w różnych dziedzinach.

* W Nowym Jorku odbyła się prapremiera nowej sztuki Arturą Millera „The Price" („Cena"). Problematyka moralno-obyczajowa. Sztuka ta jest uważana za największe wydarzenie obecnego sezonu.

* Olbrzymim powodzeniem w Nowym Jorku cieszy się nadal sztuka Barbary Garson „Machird", w której prez. Johnson został przedstawiony jako Makbet planujący zabicie swego rywala. Bilety wciąż są wyprzedane na 3 miesiące z góry.

Muzyka

* Na międzynarodowym festiwalu piosenki w Braszow w Rumunii, bardzo mocno obsadzonym, pierwsze z trzech wyróżnień zdobyła Urszula Sipińska.

* W Pieraniu koło Inowrocławia natrafiono na dokumenty świadczące o tym, że w XVIII stuleciu wieś ta była ośrodkiem muzyki polskiej na Kujawach. Działała tu duża kapela, uprawiająca rodzimą muzykę świecką — symfonie, koncerty z ariami itp. W Raciążu, Wolborzu, Smardzewicach, Ciechocinie czynne były „izby muzykowania", w których ćwiczyły i koncertowały polskie orkiestry domowe. Do głównych ośrodków muzyki polskiej w owych czasach zaliczały się Oliwa oraz Pelplin — miasteczko, w którym muzykolodzy odnaleźli wspaniały zabytek — sześciotomową tabulaturę organową, spisaną przez Feliksa Trzcińskiego w pierwszej połowie XVII wieku.

* „Lwica fortepianu" — pod takim tytułem zamieścił kopenhaski dziennik „Politiken" recenzję z koncertu Barbary Hesse-Bukowskiej, który odbył się w wielkiej sali Odo-Fellow Palas w stolicy Danii.

* Konstanty Kulka święci dalsze triumfy na europejskich estradach. Ostatnio nasz skrzypek dał cykl recitali w Hiszpanii (Walencja, Bilbao, Oviedo) oraz wziął udział w koncercie symfonicznym w Madrycie, gdzie Orkiestrą Narodową dyrygował J. Krenz. Z tym samym dyrygentem Kulka wystąpił w Wiedniu. Wynikiem tych koncertów są kolejne zaproszenia na występy w tych krajach.

* Na scenie Teatru Wielkiego wystąpiła w „Cyganerii" solistka opery w Ankarze Merel Alper.

* W kwietniu br. odbędą się w NRD obchody ku czci Paula Robesona z okazji 70 rocznicy jego urodzin. W programie uroczystości przewidziany jest koncert w berlińskiej Staatsoper w dniu 7.IV z udziałem artystów niemieckich i zagranicznych; przemówienie poświęcone jubilatowi, jego działalności artystycznej i politycznej, wygłosi prof. Albert Norden, członek Biura Politycznego KC SED.

* Pierwszym Murzynem, który został stałym dyrygentem orkiestry symfonicznej w USA, jest 35-letni Henry Lewis. Został on szefem orkiestry w Newark w stanie New Jersey.

* Pod wspólną redakcją Wernera Wolfa (Lipsk) i Gertrud Strobel (Bayreuth) ukazał się w „Deutscher Verlag für Musik" (Lipsk) pierwszy tom wydawnictwa „Listy wszystkie" Ryszarda Wagnera. Zawiera on listy z okresu 1830—1842. Całość korespondencji wielkiego kompozytora obejmie 15 tomów.

* UNESCO wydało w trzech językach (angielski, francuski, hiszpański) „Przewodnik życia muzycznego", obejmujący 71 krajów.

* We Francji ukazał się czwarty tom „Listów" Fryderyka Chopina, obejmujący okres od maja 1837 r. do marca 1840 r.

* Gilbert Becaud wyjechał do Szwajcarii, gdzie przez dwa tygodnie spał po 15 godzin na dobę. W roku ub. dał 250 recitali piosenek — co warto porównać z występami naszych gwiazd estrady.

Film

* Jest rok 1942, Hitler w otoczeniu swych najbliższych współpracowników jedzie pociągiem na front wschodni — oto punkt wyjścia scenariusza, opartego na opowiadaniu Jerzego Putramenta „Puste oczy". Scenariusz ten został ostatnio zaakceptowany w zespole „Iluzjon", a film reżyserować będą Ewa i Czesław Petelscy.

* Andrzej Wajda, który pracował ostatnio za granicą, nakręca obecnie w kraju film o tematyce współczesnej. Bohaterem utworu będzie popularny, zmarły tragicznie aktor, który przypomina Zbigniewa Cybulskiego. Postać ta nie pojawi się na ekranie, a widz pozna ją ze wspomnień przyjaciół i znajomych.

* Na ekrany kilku państw zachodnich wszedł film „17 równoleżnik", zrealizowany przez znanego dokumentalistę Jorisa Ivensa. Pokazuje on bohaterską walkę narodu wietnamskiego z imperializmem amerykańskim.

* Carl Foreman, realizator „Dział Nawarony", zahrał się do wystawienia komedii muzycznej w jednym z teatrów londyńskich.

Różne

* Telewizja Polska prowadzi wymianę programów, filmów oraz różnego rodzaju materiałów z 50 telewizjami z wielu krajów. Naszymi najpoważniejszymi kontrahentami są telewizje należące do Interwizji, a więc bułgarska, czechosłowacka, fińska, NRD, radziecka, rumuńska i węgierska. Począwszy od 1961 r. oglądaliśmy na naszych ekranach 1200 różnorodnych widowisk i sprawozdań, przekazanych za pośrednictwem Interwizji. W tym samym czasie nadaliśmy do tych krajów 550 programów. Bilans za zeszły rok to 207 programów transmitowanych przez polską TV i 122 nadane z Polski. Z Eurowizji otrzymaliśmy w 1967 r. 69 programów, a przekazaliśmy — 31.

* Ponad 1400 ton waży konstrukcja żelbetonowa rotundy wrocławskiej, w której znajdzie się Panorama Racławicka.

* 21 stałych cyrków istnieje w ZSRR, 43 następnych zostanie zbudowanych w najbliższych latach. Za półtora roku zostanie oddany do użytku nowy cyrk w Moskwie, mający 3 tysiące miejsc.

* Muzeum Wojska Polskiego (Warszawa 29) zwraca się do społeczeństwa z prośbą o składanie pamiątek i eksponatów, dokumentujących walkę i męczeństwo dzieci polskich w ostatniej wojnie.

* W południowoafrykańskiej miejscowości Ngwengya odkryto kopalnię rudy żelaznej sprzed 3 tys. lat — najstarszą na świecie.

Kamena str. 2

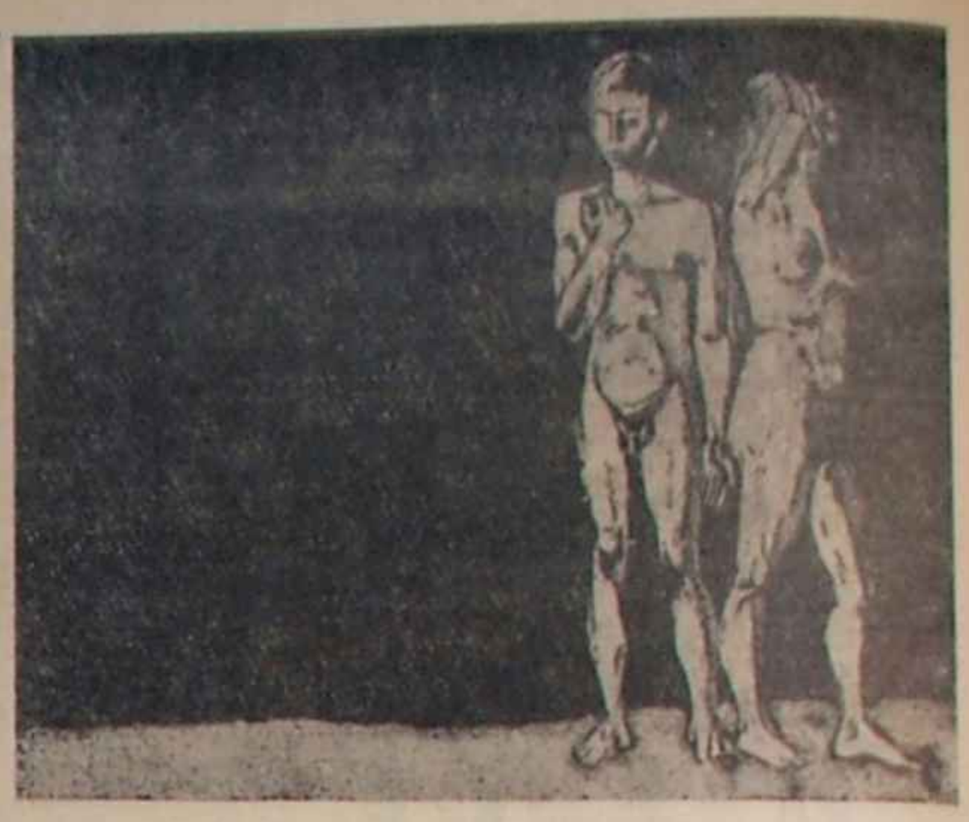

WIESŁAW JURKOWSKI, autor reprodukowanego obrazu pt. „Rodzina", urodził się w 1939 r. Studiował w PWSSP w Gdańsku; dyplom otrzymał w 1964 r. Uprawia malarstwo i grafikę. Uczestniczył w wystawie „XX lat PRL w twórczości plastycznej" — Warszawa 1963, w III Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa i Grafiki — Bielsko-Biała 1965 r., w Międzynarodowym Biennale Grafiki — Kraków 1966 r. Brał udział w Ogólnopolskich Plenerach Białowieskich oraz w wystawach poplenerowych. W r. 1965 miał wystawę indywidualną grafiki, a w 1967 — wystawę malarstwa w Białymstoku. Laureat nagrody PWRN w Białymstoku (1964 r.), Medal Brązowy w Bielsku-Białej w 1965 r. Prace w zbiorach MKiS, PWRN, Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Białymstoku. Twórczość Jurkowskiego reprezentuje jeden z nurtów współczesnego malarstwa figuratywnego. Nie jest to jednak figuracja „na zamówienie". Mamy do czynienia z malarstwem spontanicznym i szczerym w swoich motywacjach, dalekim od rekwizytorni wielu współczesnych malarzy figuratywnych, łączących tradycje koloryzmu i ekspresjonizmu. Obrazy Jurkowskiego — zdeformowane postacie ludzkie wtopione w nieokreśloną przestrzeń — zdają się być malarską metaforą człowieczego losu.

(K)

Notes „Kameny"

Józef Barecki

PAX HEBRAICA

NA OBSZARZE Palestyny syjonizm buduje społeczeństwo oparte na ideologii, która dąży do ekstrakcji Żyda z człowieka, podczas gdy nacjonalizm arabski stara się w sposób bardziej autentyczny uczynić z Araba człowieka. Syjonizm pragnie uświęcenia różnicy między Żydami i nie-Żydami, podczas gdy nacjonalizm arabski pragnie usunięcia imperialistycznej interwencji, która wprowadza sztuczną odmienność Arabów i nie-Arabów. Syjonizm przejmuje ideologiczne doświadczenia ekskluzywnych rasistowskich i teokratycznych ruchów, podczas gdy nacjonalizm arabski przejmuje wyzwoleńcze, humanistyczne, antyimperialistyczne doświadczenia afroazjatyckiego przebudzenia narodowego. Syjonizm uniemożliwia Żydom należenie do ludzkości...

Słowa te napisał niedawno Clovis Mascoud, jeden z intelektualistów arabskich. Wyjaśniają one charakter konfliktu, jaki trwa od wielu lat na Bliskim Wschodzie, są najbardziej aktualnym komentarzem do tego, co dzieje się nad rzeką Jordan i Kanałem Sueskim.

Niedawna napaść wojsk izraelskich na osiedla uchodźców jordańskich, ten nowy, arogancki akt wymierzania przez Izrael „sprawiedliwości" swoim ofiarom, nie wprowadził w błąd już nikogo. W miarę upływu czasu wyjaśniło się wiele nieporozumień narosłych wokół wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Dziś nikt już nie wierzy w bajkę o groźbie unicestwienia państwa żydowskiego przez Egipt i rozpoczęciu przez ZRA wojny czerwcowej. Nie podtrzymuje jej nawet Izrael, ponieważ nie jest mu więcej potrzebna. Izrael przygotował czerwcową napaść świadomie, z zimną premedytacją. Zaskoczone państwa arabskie zostały pokonane. Dziś nikt również nie wierzy, że kraje arabskie nie chcą pokoju i uregulowania swych stosunków z Izraelem. Wszystkie propozycje rozwiązania konfliktu są odrzucane nie przez kraje arabskie, ale przez Izrael.

O co chodzi Tel Awiwowi, dlaczego nie chce rokowań?

Przypomnijmy sobie, co mówili przywódcy izraelscy na temat granic w miarę, jak realizowali swoją politykę przygotowań do agresji i potem, gdy rzucili przeciwnika na kolana.

Najpierw więc podnosili alarm, że nie pragną niczego więcej nad zabezpieczenie istniejących granic. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że te granice sprzed 4 czerwca 1967 r. obejmowały tereny większe od przyznanych Izraelowi umową ONZ z 1947 r. W wyniku pierwszej wojny przeciwko krajom arabskim Izrael zwiększył siłą swój stan posiadania o około 6 tys. km kw., czyli o jedną trzecią swej powierzchni. W przededniu 4 czerwca z Tel Awiwu szły w świat alarmujące wiadomości o rzekomym zagrożeniu przez Egipt tych granic i apele o pomoc w ich zabezpieczeniu. *Niczego nie chcemy, tylko pokoju i bezpieczeństwa posiadanych granic* — oświadczali wtedy przywódcy Izraela.

Nazajutrz po agresji coś się nagle zmieniło w tym chórze. *Wszystko może być tematem rokowań, oprócz Jerozolimy* — odezwały się głosy. Potem zrealizowano to w praktyce. Wbrew jednomyślnej uchwale ONZ Izrael zaanektował całą Jerozolimę, stwarzając w ten sposób pierwszy fakt dokonany.

Wkrótce po tym formuła *wszystko może być tematem rokowań oprócz Jerozolimy* przestała być aktualna. *Mapa z dnia 4 czerwca* — powiedział minister spraw zagranicznych Eban — *należy już do przeszłości obecnie zapomnianej.* Izrael wystąpił z żądaniem ustalenia takiej granicy, która objęłaby strefę Gazy, wzgórza Golan w Syrii, całą północną część Jordanii do rzeki Jordan oraz Szarm el Szejk wraz z zachodnimi wybrzeżami Półwyspu Synajskiego. Nie koniec na tym. Do dyskusji włączył się „Ruch na rzecz wielkiego Izraela", organizacja odgrywająca coraz większą rolę w życiu tego państwa. *Powrót do granic sprzed wojny sześciu dni jest nieprawdopodobny* — stwierdził premier Eszkol, a przywódcy „Ruchu na rzecz wielkiego Izraela" dodali: Izrael musi mieć granice biblijne.

Tel Awiw, a ściślej mówiąc — Jerozolima, nie tylko nie kryje prawdziwych celów swojej agresji przeciwko krajom arabskim, ale realizuje je w praktyce. *Izrael nie zwleka z zabezpieczeniem zdobyczy, jakie dało mu zwycięstwo nad Arabami* — pisał niedawno amerykański „US News and World Report". — *Utrwalane są nowe granice, realizuje się program osadnictwa...*

Plan włączania do organizmu państwa izraelskiego ziem arabskich nie narodził się z dnia na dzień. Rządzące koła Izraela dysponowały nim na długo przed rozpoczęciem czerwcowej agresji. Opracowany on został w szczegółach na okres 15 lat, a jego realizacja rozpoczęła się nazajutrz po zagarnięciu nowych ziem. Oczywiście, rząd izraelski nie przewidział, że będzie go wcielał w życie w trudniejszej dla siebie sytuacji międzynarodowej. Liczył on na to, że pod ciosami jego armii sąsiednie kraje arabskie załamią się całkowicie i dojdzie do zmiany postępowych rządów, a w konsekwencji do przyjęcia wszystkich żądań agresora. Wojna trwa nadal — powiedział gen. Rabin — *nie zdołaliśmy uzyskać przynajmniej dotychczas zmiany stanowiska Arabów wobec nas. Nie upadł żaden z reżimów będących u władzy.* To trochę pokrzyżowało plany Izraela, ale ich nie przekreśliło.

Na zdobytych terenach trwa intensywna akcja osiedleńcza, powstają nowe kibuce, organizuje się izraelska administracja. Rząd izraelski wysiedla Arabów i intensywnie „hebraizuje" arabskie miejscowości. *Wielu przedstawicieli ruchu kibuców* — pisała „Rinascita" — *który jest jednym z filarów MAPAM, znajduje się w pierwszym szeregu, jeśli chodzi o wykorzystanie ziemi i dóbr na obszarach okupowanych po usunięciu ich prawowitych właścicieli. Niedawno pod przewodnictwem archeologa Shmaryahu Gutmana, który podjął się dowieść, że Izraelici mieszkali na ziemi syryjskiej od czasów Heroda (!), 300 członków rady kibucu Amenchard odwiedziło strefę Kuneitry badając plany założenia czterech kolonii i stwierdzając z zadowoleniem, że utworzona niedawno kolonia wojskowa uprawia już 5 000 dunamów* (nie swojej) *ziemi.*

Akcji osiedleńczej towarzyszy w Izraelu propaganda na rzecz zwiększenia przyrostu naturalnego oraz przyśpieszenia imigracji Żydów. Po krajach, w których znajdują się większe skupiska Żydów, bez przerwy podróżują politycy izraelscy agitując za imigracją do Izraela i poparciem jego zaborczych planów. *Od Stanów Zjednoczonych chcemy odrzutowców, od was — dusz* — powiedział na uniwersytecie jedności hebrajskiej w Nowym Jorku premier Eszkol. Można to rozszerzyć. Od USA broni, od młodych Żydów — przyjazdu, zaś od żydowskiej finansjery — kapitałów. Pomoc międzynarodowych organizacji syjonistycznych dla Izraela jest ogromna. Nie sposób określić, jakie sumy płyną do banków Tel Awiwu, nikt ich bowiem nie ujawnia, można jednak o ich wysokości wyrobić sobie zdanie na jednym tylko przykładzie. Mimo prowadzenia wojny i kolonizacji zdobytych obszarów deficyt bilansu płatniczego Izraela zmniejszył się w roku 1967 o ponad 100 mln dolarów. Sumy przekazywane rządowi Izraela przez organizacje syjonistyczne idą w miliardy dolarów. Jeśli dodać do tego również duże fundusze, jakie w Izrael inwestują nieżydowskie spółki z USA, Anglii i Niemiec zachodnich, to otrzymamy obraz prawdziwego układu sił na Bliskim Wschodzie. Ideologiczne, reakcyjne cele syjonizmu splotły się ze zwykłym kapitalistycznym interesem i imperialistyczną strategią — agresja czerwcowa stworzyła warunki do nowego ujarzmienia Arabów.

Na tym tle nietrudno zrozumieć, jaki cel ma żądanie Izraela, aby uregulowanie kryzysu wywołanego jego napaścią nastąpiło tylko na drodze bezpośrednich rokowań rządu izraelskiego z zainteresowanymi rządami arabskimi.

Rokowania są w tym wypadku tylko zwrotem retorycznym. Stanowisko Izraela zmierza do tego, aby państwa arabskie przyjęły jego warunki. Chce on po prostu podyktować zasady, na których oparłby się specyficzny pokój na Bliskim Wschodzie — „pax hebraica".

Wyprawy odwetowe żołdateski izraelskiej na drugi brzeg Jordanu mają na celu zmuszenie Jordanii, najsłabszego ogniwa arabskiego frontu, do przyjęcia izraelskich warunków. Nacisk wywierany jest nie tylko na Jordanię. Wszystkie kraje arabskie żyją w cieniu sprężonej do skoku armii żydowskiej. Prezydent Izraela, Zalman Szazar oświadczył niedawno, że wojna czerwcowa nie jest zakończona, a nowy szef sztabu armii izraelskiej dodał: *Trzy razy zwyciężaliśmy, zwyciężymy po raz czwarty.* Izrael nie kryje więc swego programu: wymusić na swych arabskich sąsiadach takie ustępstwa, które zaspokoją ekspansjonizm syjonistyczny i pozwolą Izraelowi stać się żandarmem Bliskiego Wschodu na usługach amerykańskiego imperializmu.

u sąsiadów

Rolnictwo w ZSRR

W KOŃCU grudnia ub. r. w „Prawdzie" ukazał się artykuł pióra I. Kzionza, dyrektora sowchozu „Pietrowski". Ponieważ artykuł był nieco kontrowersyjny wywołał duży oddźwięk wśród czytelników dziennika. Autorzy listów do redakcji zwracają uwagę na nowe procesy zachodzące w rolnictwie radzieckim. Obok pozytywów nie brak i elementów krytyki.

Dwaj specjaliści rolnictwa, ekonomiści Lisiczkin i Wołkow, dokonali przeglądu tych listów, który opublikowali na łamach „Prawdy".

Na wstępie podkreślają oni, że realizacja uchwał marcowego plenum KC KPZR z 1965 r. i XXIII Zjazdu partii stworzyła sprzyjające warunki dla rozwoju rolnictwa. Sytuacja w kołchozach i sowchozach uległa zdecydowanej poprawie. Niemniej należy dążyć do dalszych postępów.

W swych listach czytelnicy wiele miejsca poświęcają sprawie perspektyw i metod specjalizacji produkcji rolnej. Przewodniczący jednego z kołchozów z obwodu homelskiego wskazuje, że jego kołchoz mógłby znacznie bardziej rozwinąć produkcję zwierzęcą, gdyby nadmierny plan produkcji zboża towarowego nie wiązał mu rąk. Z drugiej strony przewodniczący jednego z kołchozów na Kubaniu wyraża odwrotny pogląd. Jego zdaniem narzucona kołchozowi produkcja hodowlana jest niekorzystna i dla gospodarstwa i dla państwa. Jego kołchoz powinien się specjalizować wyłącznie w uprawie zbóż, głównie pszenicy.

Otwarte stawianie sprawy, śmiałe zwracanie uwagi na błędy i niedociągnięcia — to dziś objaw powszechny w ZSRR.

MILIARDY DLA STUDENTÓW

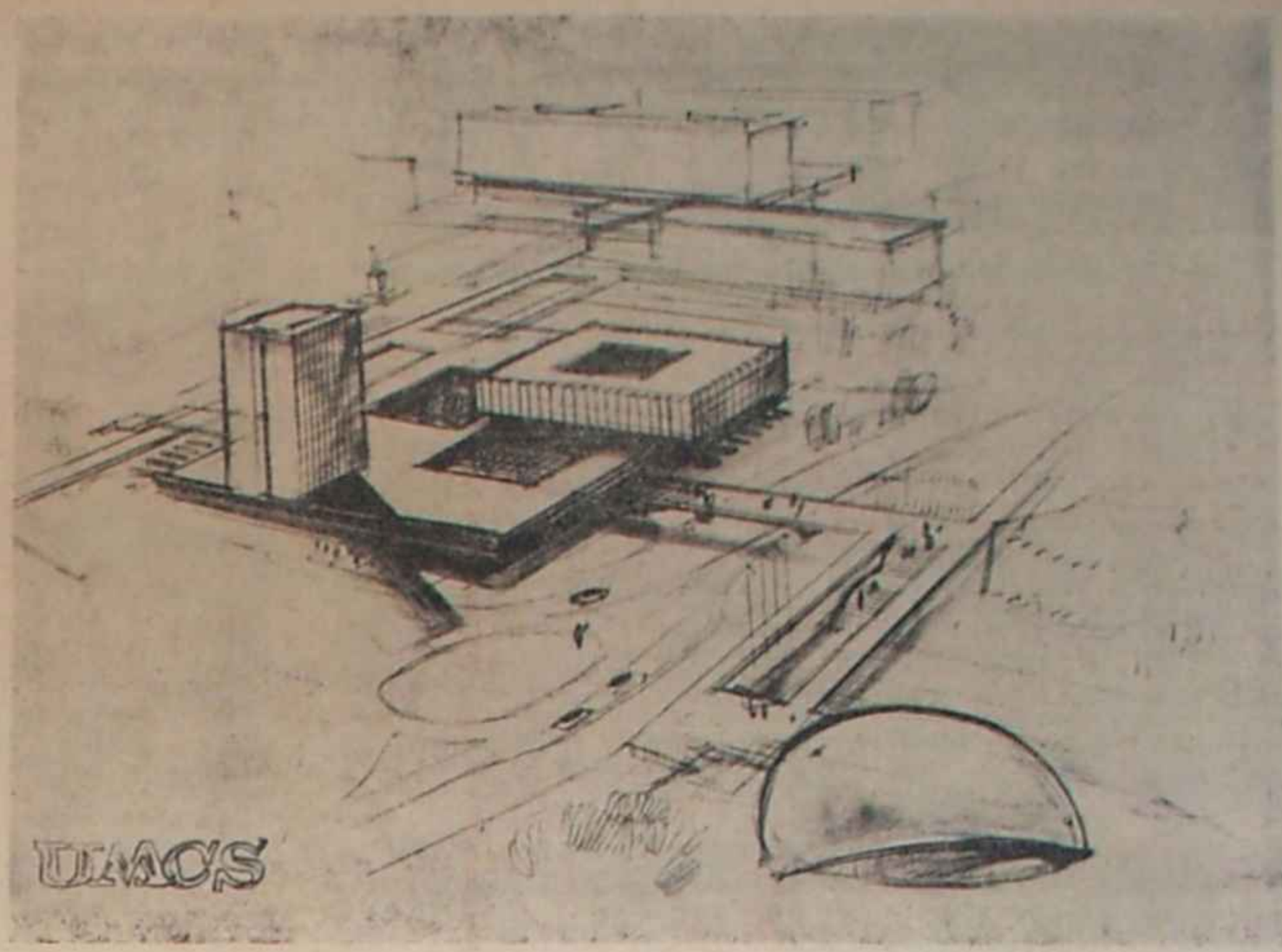

Plan koncepcyjny lokalizacji gmachu Rektoratu UMCS w dzielnicy uniwersyteckiej. W tyle widoczny istniejący pomnik Marii Curie-Skłodowskiej. Łupina u dołu z prawej to dach projektowanej auli międzyuczelnianej.

(Dokończenie ze strony 1)

Ale — jak stwierdziliśmy na początku — aby podjąć produkcję, najpierw trzeba zainwestować w zbudowanie zakładu produkcyjnego. Przyjrzyjmy się więc inwestycjom lubelskim dla wyższych uczelni.

To był chyba pierwszy w dziejach wypadek, że półtora miesiąca po przejściu linii frontu, 50 km od pozycji nieprzyjacielskich, powstały zaczątki uniwersytetu, który przedtem w ogóle nie istniał. Bo już 11 września 1944 r. w gimnazjum Zamoyskiego odbył się pierwszy taki wykład. 23 października ukazał się dekret PKWN o powołaniu UMCS z czterema wydziałami (w styczniu 1945 r. powstał piąty). Studia rozpoczęło wtedy 980 studentów.

8 lipca 1946 r. Miejska Rada Narodowa w Lublinie podjęła uchwałę o przekazaniu *pod przyszłą chwalebną, a pomyślną rozbudowę uczelni, ku pożytkowi Najjaśniejszej Demokratycznej Rzeczypospolitej* terenów — później znacznie rozszerzonych — na których w szybkim tempie zaczęła powstawać dzielnica akademicka. Były to szczere pola, bez dróg i uzbrojenia, położone już poza rzeczywistymi granicami ówczesnego miasta. Niektórzy mieli nawet pretensje, że uczelnię wyrzucono poza miasto. Inni twierdzili, że plany całej nowej dzielnicy to mrzonka, która nigdy nie zostanie zrealizowana.

A jednak zaczęło się. 23 października 1949 r. położono kamień węgielny pod dwa pierwsze gmachy: Fizyki i Chemii. Budynek Chemii przekazano uczelni po dwóch latach, Fizyki po trzech. Dzisiaj wszyscy widzimy, że jest rzeczywiście cała dzielnica, jedna z najpiękniejszych w Lublinie, chociaż prawdą jest, iż jej wygląd architektoniczny nie jest jednolity, ukazując zmieniające się przepisy lub tendencje twórcze.

— Dotychczas w dzielnicy uniwersyteckiej przekazano do użytku 33 obiektów, ostatnim z nich jest wspaniały gmach biblioteki międzyuczelnianej, który obok czytelni, pracowni i drukarni pomieścić może prawie półtora miliona woluminów — mówi mgr Zdzisław Kowalski, od wielu lat dyrektor Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych. — Kubatura tych budynków przekracza 400 tys. m sześc., co można przeliczyć na sto średniej wielkości domów mieszkalnych albo co najmniej 7 tysięcy mieszkań o powierzchni ok. 40 m kwadr. każde.

— Do końca bieżącej pięciolatki — ciągnie mgr Kowalski — wydamy jeszcze 100 mln zł. A więc przede wszystkim dokończenie gmachu Chemii Wielkiej, budowanego kosztem puławskich Azotów. W połowie roku studenci otrzymają siódmy z kolei dom mieszkalny na 704 miejsca — blok G, a potem dwa dalsze po 320 miejsc. W tej chwili „akademiki" mają razem 3 200 miejsc, do końca 1970 r. będzie więc 4 500 miejsc. Prawdziwe wielkomiejskie osiedle mieszkaniowe. Dbamy także o studenckie żołądki. W dotychczas istniejących stołówkach jest 3 500 miejsc, jeszcze w tym roku rozpoczynamy budowę nowej na 2 200 miejsc, a także budowę hotelu asystenckiego na 368 miejsc. Ten ostatni będzie miał 11 pięter. Ale najwyższym budynkiem będzie 21-kondygnacyjny gmach Rektoratu oraz wydziałów Prawa i Ekonomii. Od roku trwa budowa hali sportowej o wymiarach 25 × 40 m z widownią na 350 miejsc. Będzie gotowa w przyszłym roku, gdy zaczniemy stawiać krytą pływalnię. Oba obiekty będą dostępne dla okolicznych mieszkańców, głównie z osiedla LSM. W ramach programu, który kończymy opracowywać na następną pięciolatkę, poza wspomnianym gmachem Rektoratu powstanie wielka aula środowiskowa — naprzeciw Chatki Zaka, po drugiej stronie ul. Nowotki. Na dwa tysiące miejsc! Odpowiednie urządzenia i zaplecze pozwolą na wykorzystywanie jej do urządzania imprez ogólnomiejskich. W tym programie także dwa dalsze domy asystenckie — w dzielnicy WSI i na Sławinku obok ogrodu botanicznego, no i jeszcze jeden dom studencki, blok H.

— *Wyższa Szkoła Rolnicza nie ma jeszcze 13 lat, ale przecież wydziały Rolny i Weterynaryjny stanowiły połowę powstającego uniwersytetu. W ramach dzielnicy uniwersyteckiej istnieje już wiele obiektów WSR jak Agrotechnika, budynek Katedry Mechanizacji Rolnictwa, kończy się gmachy Rektoratu i Wydziału Zootechniki. A co dalej?*

— Jest już zatwierdzony program budowy zespołu 5 obiektów dla Wydziału Mechanizacji Rolnictwa, który powstanie po przekształceniu obecnego Oddziału Mechanizacji Rolnictwa. Tylko ten jeden zespół będzie kosztował ok. 67 mln zł. Ok. 40 mln zł pochłonie zespół obiektów dla mającego powstać Wydziału Ogrodnictwa. Ta inwestycja znajdzie się oczywiście w Felinie.

— *Dzielnica uniwersytecka niespodziewanie dla siebie samej znalazła się dzisiaj w centrum miasta, które — jeżeli tak można powiedzieć — przeskoczyło ją, tworząc po drugiej stronie al. PKWN wielkie osiedle LSM. Czy nie zaczyna się robić uczelniom zbyt ciasno?*

— W tej chwili jeszcze nie, ale w niedalekiej przyszłości tak. Nasz teren od początkowych 17 ha rozrósł się do 70 ha i mamy nadzieję, że w przyszłości uda nam się poszerzyć dzielnicę jeszcze bardziej na zachód i tam m. in. przewidujemy zlokalizowanie wielkiego stadionu. Aby uniknąć kolizji wewnątrz naszej dzielnicy, dla ruchu ogólnomiejskiego pozostanie otwarta tylko ul. Sowińskiego, nad którą powstanie przejście na drugim poziomie. Ul. Nowotki na terenie dzielnicy będzie dostępna tylko dla ruchu pieszego.

— *Zarząd Inwestycji prowadzi także budowę najmłodszej dzielnicy akademickiej — tej przy ul. Nadbystrzyckiej — dla Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Może kilka słów na ten temat?*

— WSI powstała w 1953 r., ale przez szereg lat dusiła się w wypożyczonych salach. Dopiero w 1962 r. otrzymała pierwszy własny gmach przy ul. Dąbrowskiego, zresztą dość prowizorycznie przystosowany do jej potrzeb, a przede wszystkim zupełnie niewystarczający wskutek szybkiej rozbudowy uczelni. Przy ul. Nadbystrzyckiej WSI otrzymała 20 ha, gdzie w ciągu 13 lat powstanie wielki zespół gmachów dla poszczególnych wydziałów, kilka domów studenckich, Rektorat, stołówka na 2 tysiące miejsc, obiekty socjalne i sportowe. Pierwszy z nich — pawilon Wydziału Elektrycznego — został wykończony już w roku ub. Cała ta dzielnica będzie kosztowała przynajmniej 300 mln zł. W tej chwili w lubelskim Miastoprojekcie robi się dokumentację, roboty ruszą z kopyta w 1970 r. Ale chcemy już w przyszłym rozpocząć pierwszy dom akademicki. Centralnym punktem tej dzielnicy będzie budynek dla Wydziału Mechanicznego — kubatura 67 tys. m sześc., koszt 87 mln zł, z czego 22 mln zł to aparatura pomiarowo-kontrolna, naukowa i laboratoryjna. Nie potrzebuję chyba dodawać, że od naszych projektantów spodziewamy się nowoczesnej architektury i bardzo funkcjonalnych rozwiązań. W domach akademickich zamieszka 1500 studentów, w specjalnym budynku 350 pracowników naukowych. Ostatni obiekt będzie największy — 70 tys. m sześc. To Wydział Ogólnotechniczny, obowiązujący w ciągu 2 pierwszych lat dla wszystkich studentów WSI.

Tyle o inwestycjach trzech uczelni. Wymieniłem tylko najważniejsze, podałem ogólne liczby. Dwie z tych uczelni — UMCS i WSR — są już zasobne, trzecia rusza ze startu. Akademia Medyczna, podlegająca Ministerstwu Zdrowia, ma swój własny Zarząd Inwestycji. Jego dyrektor Tadeusz Młynarczyk relacjonuje najpierw krótko to, co już zrobiono dotychczas:

— Mamy duży teren — 40 ha. Gdy otrzymywaliśmy lokalizację, były to zwykłe pola, a częściowo wyrobiska po starej cegielni. Wszystko położone także na skraju miasta, bez jako tako przyzwoitego dojazdu, bez uzbrojenia, góry i doły. Dzisiaj z dwóch stron dojeżdża się do nas pięknym asfaltem, a przekazany do użytku w lipcu 1964 roku zespół klinik jest nie tylko najpiękniejszym, ale i najlepiej urządzonym obiektem tego typu w Polsce, jednym z najlepszych w Europie. Mieści się tam 7 klinik. Koszt całości — 263 mln zł. Są już czynne dwa domy pielęgniarek na 216 miejsc, 48 mieszkań w budynku awaryjnym, zaplecze gospodarcze. Chciałbym dodać, że w latach poprzednich, zanim powstała koncepcja budowy dzielnicy AM, zbudowano dwa gmachy w samym śródmieściu — Medicum przy ul. Dymitrowa w 1963 r. i Farmaceuticum przy ul. Staszica w 1949 r., nie mówiąc o adaptacjach innych obiektów.

— *A co buduje się w tej chwili?*

— Dwa domy studenckie na 648 miejsc i stołówkę na 1 200 miejsc, w tym roku zaczniemy Klinikę Ftyzjatryczną — to razem 46 mln zł. Trzeci dom studencki w przyszłym roku. Kosztem 38 mln zł rozbudujemy znacznie Klinikę Okulistyczną, gdzie m. in. powstanie sala wykładowa dla 120 słuchaczy.

— *Co natomiast przewiduje się w bliższej i dalszej przyszłości?*

— W przyszłej pięciolatce rozpoczyna się budowę drugiego giganta — zespołu klinik „B". Koszt — 220 mln zł. Znajdzie tam doskonałe warunki 12 klinik wraz ze szpitalem, większym od zespołu „A". W perspektywie znów 300 mln zł: na zakłady teoretyczne Wydziału Lekarskiego, Rektorat z salą wykładową na ok. 700 miejsc, klinikę zakaźną, studium wojskowe, studium WF, studium języków obcych, czwarty dom studencki, dom społeczno-usługowy, dwa budynki mieszkalne dla pracowników naukowych, nie mówiąc, oczywiście, o samym zagospodarowaniu terenu.

Być może co bardziej niecierpliwy czytelnik nie bez trudu przebrnął przez podane wyżej nazwy, miliony, daty czy lokalizacje. Myślę jednak, że warto zapoznać się chociaż bardzo ogólnie z tym, co już zrobiliśmy i co w najbliższej przyszłości jeszcze zrobimy, aby naszej młodzieży zapewnić możliwie najlepsze warunki studiowania, mieszkania i zaspokajania wszelkich innych potrzeb. Bo chociaż prawdą jest, że przede wszystkim dzielnica UMCS i WSR, ale także i dwie pozostałe były i są do dzisiaj najbardziej prężnymi — obok FSC — czynnikami miastotwórczymi Lublina, to przecież nie dla osiągnięcia tego właśnie celu społeczeństwo podjęło olbrzymi, wieloletni trud budowy tych dzielnic. I piszę to wszystko nie dlatego, aby młodych kłuć w oczy, aby im wypominać, aby występować w roli mentora czy wapniaka. Są jednak chwile, gdy takiego bilansu trzeba dokonać, gdy trzeba spojrzeć nie tylko na hasła, ale na codzienną rzeczywistość, gdy trzeba zapoznać się nie z szeptami, ale z obiektywnymi faktami.

Podsumujmy więc te inwestycje. Gdzieś pod koniec bieżącego roku łączna wartość już wykonanych inwestycji przekroczy miliard złotych. W perspektywie — którą we wszystkich dziedzinach ograniczamy rokiem 1980 — wydamy na ten sam cel drugi miliard. Nie posiadamy w województwie drugiej tak kosztownej inwestycji. Olbrzymia cementownia Chełm II będzie kosztowała ok. 700 mln zł. W ciągu tych samych 18 lat, gdy budowaliśmy nasze uczelnie, na Fabrykę Samochodów Ciężarowych wydaliśmy pół miliarda zł mniej. Dwa miliardy zł to ponad 80 tysięcy izb mieszkalnych — tu mogliby pomieścić się wygodnie mieszkańcy trzech takich miast jak Puławy. Dodajmy do tego ów następny miliard, wydawany na utrzymanie tych samych uczelni w ciągu każdej pięciolatki.

A przecież to jeszcze nie wszystko. Sumy nie idą już w miliardy, liczone w państwowym budżecie, ale ważne w osobistym budżecie każdego z młodych naszych przyjaciół: ulgowe bilety w komunikacji miejskiej, zniżki na PKP, stypendia fundowane, wczasy i wycieczki kalkulowane poniżej kosztów własnych... No i w żaden sposób nie dająca się przeliczyć na pieniądze, a chyba jeszcze więcej warta sympatia, ba — miłość i nadzieja, którymi otacza swoją młodzież całe społeczeństwo. Te miliardy są tego tylko skromnym dowodem.

W ciągu 18 ostatnich lat liczba studentów w omawianych czterech uczelniach potroiła się, sięgając dzisiaj 14 tysięcy. Według perspektywy na rok 1980 będzie ich już prawie 25 tysięcy: UMCS 11 tys., WSR i WSI po 6 tys., AM 1900. Do tego czasu ok. 60 proc. będzie miało mieszkania w domach akademickich, w AM wskaźnik będzie jeszcze wyższy. Ok. 70 proc. będzie mogło swobodnie korzystać ze studenckich stołówek. Kadra naukowa znacznie liczniejsza, wyposażenie katedr, laboratoriów, zakładów i wszystkich innych placówek bez porównania lepsze, nowocześniejsze. Zasobniejsze biblioteki. Wciąż lepsze i lepsze warunki nauki, odpoczynku, zabawy. Wyższe uczelnie są jedynymi organizmami w Polsce, wobec których przymyka się oczy za przekroczenia budżetowe nawet wtedy, gdy są one tylko częściowo usprawiedliwione. Nie było jeszcze i nie będzie wypadku, aby zlikwidowano jakąś katedrę lub zamknięto dom akademicki, bo zabrakło środków finansowych, bo się nie opłacało.

Tak więc, kochani, wygląda w wielkim skrócie to, co wam daje społeczeństwo. Nawet hojny wobec swojej Akademii Zamoyski byłby skąpcem w porównaniu z tym, co społeczeństwo daje Wam działaj. Daje domagając się tylko jednego — spokojnej, konsekwentnej, zaangażowanej nauki. Czy tak jest zawsze — odpowiedzcie już sobie sami. I wyciągnijcie z tego wnioski.

Jerzy Dostatni

Gdy do głosu doszedł rozsądek...

(Dokończenie ze str. 1)

cić do wieczorów pytań, nawet anonimowych, chociaż nie sądzę, aby dzisiaj anonimowość była potrzebna. Miał rację Korotyński, gdy mówił na ostatnim zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: „Trzeba mieć do nas samych pretensje, że nie jesteśmy wśród młodzieży obecni, a jeżeli nie my — obecni są inni. Wolę zebranie, na którym młodzież będzie się burzyć, zechce nas zakrzyczeć, będzie nam zadawać pytania, na które nie zawsze będziemy w stanie odpowiedzieć. Wolę to niż dawanie pola dla działania siłom nam wrogim. Wydaje się, że jest to jakiś apel pod adresem wszystkich działaczy społecznych i politycznych, a my wszyscy się do nich zaliczamy".

I dlatego hasła, które ostatnio rozbrzmiewało na manifestacjach robotniczych: „Studenci do nauki" — nie brałbym dosłownie. Chyba, że nauką będą również te spotkania, za którymi gorąco agituję i w których sam chętnie wezmę od czasu do czasu udział. Bo przecież nauka — to nie tylko przyswajanie sobie skryptów, ale również przyswajanie sobie życia i kształtowanie postaw ideowych. Warto, by o tym pamiętali na co dzień pracownicy nauki. Celowo podkreślam ten problem, bo oni mają najbliższy kontakt z młodzieżą na uczelni.

Z dni marcowych płynie wiele nauk. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Kazimierza Kąkola („Sprawy i ludzie") w „Prawie i Życiu". Zwróciłem uwagę na te słowa Kąkola, w których mówi o nadchodzeniu czasu na skrupulatną i bezkompromisową analizę ostatnich wydarzeń. Pod naszym bokiem dobierano się nam do skarbu najcenniejszego, jaki mamy, do naszej młodzieży — bezczelnie nadużywając jej dobrej woli i dobrej wiary. Mieliśmy do czynienia z próbą uderzenia w kierownictwo, z którym wiąże się słusznie wybór i stabilność decyzji politycznych określających nasze miejsce i naszą postawę w obozie socjalistycznym... Zakonspirowana grupa, powiązana z ośrodkami syjonistycznymi, usiłowała w sposób zorganizowany doprowadzić, pod hasłami patriotycznymi i demokratycznymi, do takiego nasilenia manifestacji i starć ulicznych, aby uczynić otwartym problem przynajmniej personalnej kontynuacji rządzenia.

Przygotowując się do V Zjazdu PZPR — kontynuuje Kąkol — musimy wziąć na warsztat wiele problemów o doniosłym dla nas znaczeniu, rozważać sprawy zasadnicze nie odrywając się od ludzi. Zachłyśnięcie się październikową wolnością, atmosfera jawności i praktyka jawności, respektowanie zasad praworządności — nie pozwalały przez dłuższy czas dostrzec, że zastosowane lekarstwo nie służy skutecznie zwalczaniu wielu dolegliwości. Nie dawało należytych skutków w zapobieganiu rozrastania się polipa biurokracji; nie dawało pożądanej i koniecznej sprężystości w zakresie postępu ekonomicznego i technicznego; nie dawało w sferze racjonalnego doboru kadr zabezpieczenia naturalnej selekcji najlepszych, najbardziej przydatnych, nie dawało w sferze urzeczywistniania proklamowanych zasad demokracji socjalistycznej, zwłaszcza w dziedzinie gospodarowania.

Wyliczając jeszcze inne mankamenty naszej codzienności Kąkol podkreśla w konkluzji, że jedność moralno-polityczna naszego narodu jest faktem. Rozumu politycznego nam przybyło.

Najlepszym tego dowodem — dodam od siebie — było olbrzymie poparcie całego narodu dla przemówienia, które Władysław Gomułka wygłosił w pamiętny wtorek 19 marca.

M. A. Jaworski

Litery

Od pewnego czasu między „Kameną" a miesięcznikiem społeczno-kulturalnym Wybrzeża — „Litery" nawiązała się współpraca, która objęła również środowiska młodych pisarzy Lubelszczyzny i woj. gdańskiego, zorganizowane w obrębie literackich klubów młodych. Publikujemy tutaj wybrane utwory KLM w Gdańsku, które w głównej mierze prezentują aktualne tendencje „małego realizmu".

Andrzej Guzek

Sen

A we śnie idą po nieznanych ścieżkach
tak pewnie
jakby już kiedyś zaznali smutku miejsc i okien
zza których patrzą teraz na siebie samych rozpoznanych nocą
na samych siebie których opuścili
żeby posłyszeć podwojone barwy na suchych drzewach
w zapomnianym lesie i aby odciąć pazury jemiole
uczepionej tak rozpaczliwie cienia przelatującej jaskółki
są jednak inni a przecież ci sami co stali kiedyś przed
spłowiałą rzeką
teraz leżą tak cicho jak Faust odmieniony przez los
który opłacił już z nieswojej kiesy
i nową widzą miłość — obok oddech żony spada cicho jak
kropla do kamiennej niszy
więc wtedy wszystko znika
odwracają głowy żeby coś jeszcze ujrzeć
— — — — — — — — — — — — —
któż ich sen dopisze

Wacław Maksymowicz

ballada dla siebie

marzył całe życie
mówił mi niech szlag trafi
pytałem co
dom i
marzył o burdelu, afryce
chciał kochać

siąpił się sączył
spadał na cztery łapy
całe życie
sączył się siąpił

upadł na wznak
zwyczajnie jak

pierwszy na łąkę śnieg
wynosili go
weszli w kałużę

czarna kobieta
upuściła gromnicę
krzyknęła
Jezu
nie wyłączyłam żelazka

marzył całe życie
o burdelu, afryce
chciał...

Kazimierz Sopuch

❀ ❀ ❀

kiedy
zakwitną moje grusze
kiedy
piechur niepoprawny
wejdę na taką równinę
ciszy pełną
na której nawet pomyśleć się nie da
żaden bój
i tylko dziecka czarne oczy
będą jedynym cieniem
przede mną
i moje dla niego lato
w którym można zaginąć
zielono

Andrzej Żurowski

Absolucja

I tak mnie wiodłaś do spowiedzi
poprzez kamieni wytaczanie

Wypchane podusiłem ptaki
— kurzem sfrunęły i trociną

zmurszałe myszy się rozpierzchły
po stołach uczt niedokończonych

Okrutnie cię odarłem z gestów
— tych podarunków jałmużniczych

Chciałaś rozliczyć mnie z milczenia
— sumujesz słowa co nie znaczą

Idziesz by przestrzeń między nami
ramieniem cicho porozgarniać

Pozwól mi raczej mrok natłoczyć
W gąszczu ciemności — kłamać pozwól

Jacek Jokiel

Pisane na Ziemi Chełmskiej

Zachowana w śpiewach bab
— wysoka
w bydlęcym ciele ziemia
płonę — czerwiennogrodzka
mój książyc — pieróg diabelski

Dni tu są cierpkie wiśniami
rozkrwawionymi po sadach
świątkowie każą milczeć i kochać — nieruchomi

Zbieramy czerwień na wargach
i zanosimy do domów
i wydajemy ciała
gdy wiatr targa drzewami.

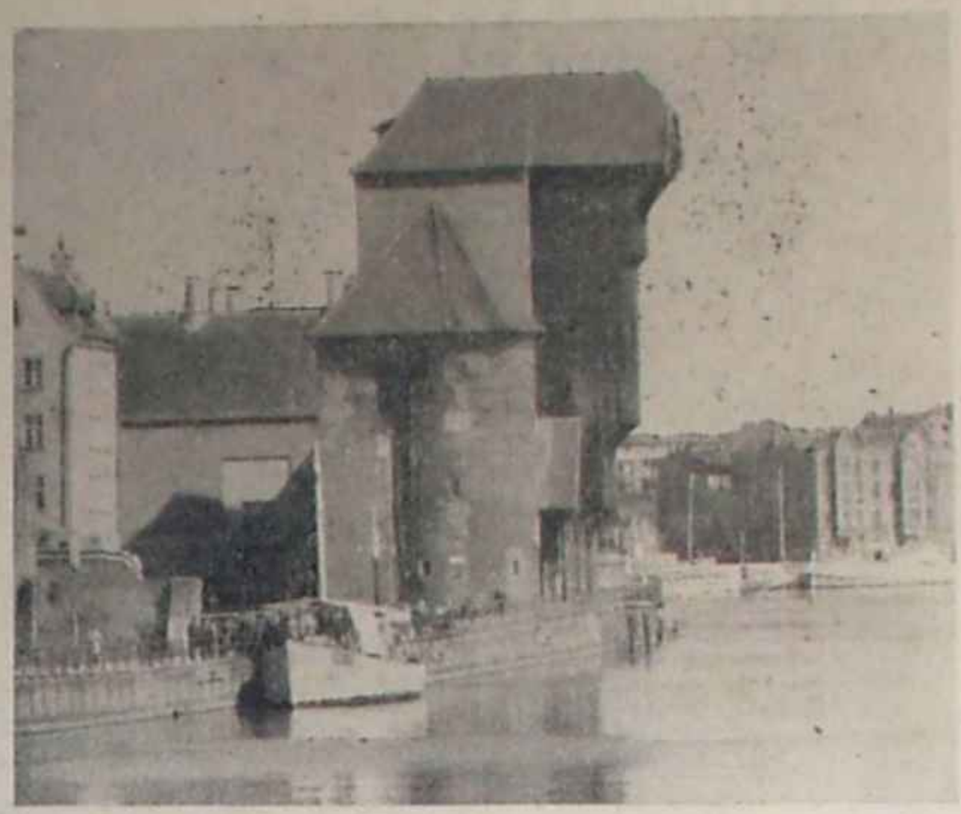

Żuraw Gdański nad Motławą

Fot. Wł. Nieżywiński

SZPERACZE

Kazimierz Słopa

WIĘC wybieramy się do tego portu. Jest nam niesłychanie miło słyszeć, jak kolega popijający piwo łaskocze nasze uszy opowieścią o tej niezwykłej robocie. Grunt to dać się lubić od samego początku. No i brygadzistę mieć do rzeczy, a później samo pójdzie. Ostatecznie nie jesteśmy ułomki i co nam pozostało z życia?

— Musimy rwać — postanawia Kondratek — musimy coś robić, do cholery! Ile tak można żyć?

Postanowienie mamy twarde i nikt na świecie nie potrafi tego zmienić. Kumpel wypija piwo, ociera mokry podbródek i zwierza się chyba dziesiąty raz:

— W porcie robota fraszka...

Najpierw trzeba będzie się urządzić z pierwszych pieniędzy zarobionych wcale nie tak lekko. No bo kto słyszał, że praca sztauera jest lekka. Ale nikt też nie zaprzeczy, że można przy takiej robocie coś ukręcić.

Z pierwszej doli Kondratek kupi żonie sweterek, albo materiał na sukienkę, trochę zostawi się na popijawę, a resztę na żelazny fundusz. Bo później nastąpi to najważniejsze: wyjazd w morze. Decydowaliśmy się nie po to, by za tydzień rezygnować. Ja o tym pamiętam i nie zapomina Kondratek.

Kolega dopija resztę z kufla i spogląda w stronę bufetu.

— Robota w porcie frajer. Postaw Kondrat, piwo...

Kondratek wytrzepuje podszewki spodni, przegląda zakamarki marynarki i płaci. W pijalni przytulnie, choć niezwykle gwarno i dymu niebieskiego pełno. W kącie na skrzyni siedzi jakiś trzeźwiejący chyba czwarty raz w ciągu dnia. Kumple mu tylko donoszą. Chcesz piwo duże? Masz takie. Chcesz mieszankę krzepkiego z porterem? Bierzesz mieszankę. Dobrze mieć takich kumpli, którzy wszystko przyniosą, pomogą. Właśnie ściągają z jego ramion płaszcz ortalionowy.

Do portu pójdziemy jutro. Nie będziemy się zwalniać z roboty, tylko nikogo nie powiadamiając skoczymy z rana i do południa powinniśmy wszystko załatwić. Umawiamy się na stacji elektrycznej kolejki. Kondratek przynosi piwo. Posyła jakiś zdawkowy komplement pulchnej bufetowej, która nie zdejmuje ręki z kurka i bezustannie podaje napełnione kufle.

— Za jutrzejszą robotę...

Wypijamy kolejny kufelek pożywnego piwka z pianką. Na dobre kręci się nam w głowach. Jesteśmy zmęczeni rozmową o jutrzejszej robocie tam w porcie. O forsie, o dziewczynach.

Wychodzimy. Jest ciemno i spokojnie. Zostawiamy za sobą gwar pijalni i idziemy senni w stronę tunelu.

— To do jutra! Pamiętajcie, o siódmej...

* * *

RANO budzę się z ciężką głową. Czuję tonę ołowiu głęboko pod czaszką i ucisk w żołądku. Jest piekielnie brzydka pogoda. Siąpi bezustannie deszcz. Ponuro i wściekle. W takim dniu nie ma nic gorszego niż załatwianie pracy w porcie.

Na dworcu nie ma Kondratka ani jego kolegi. Na długiej ławce w poczekalni trzej mężczyźni palą papierosy i rozmyślają o dobrej robocie. My już mamy, tylko pojechać i załatwić. W kącie z głową wspartą o ścianę przylegającą do ławki drzemie stara prostytutka.

Wchodzę do zielonej budki i uruchamiam automat:

— Czy jest Kondratek?

Nie ma. Jest jego kolega, ale ciężko pracuje. Nie może na chwilę odejść od maszyny, by porozmawiać przez telefon. Wychodzę z budki i czuję czyjąś dłoń na ramieniu.

— Cześć. Myślałem, że nie przyjdziesz.

— Wskoczyłem na jednego. Głupio jakoś. Masz forsę i kup dwa bilety.

— A ten kumpel? — pytam.

— Nie przyjdzie. Ja go znam — mówi Kondratek zapalając papierosa, — boi się starej. No to leć.

W elektryczniaku jest dość luźno. W ostatnim przedziale chłopcy z teczkami klepią się po kolanach i mrugają w stronę dziewcząt.

— Przerobił nas twój kumpel — mówię.

— Kit mu w oko. Jak zarobimy forsę, to dopiero zrobi sowie oczy — pociesza mnie Kondratek.

— Wszyscy cwaniacy, jak stawiasz piwo.

— Może przestraszył się starego. Zresztą każdy się boi. Ma rodzinę, robotę mógłby stracić. Jeden dzień nie być w robocie to dużo.

— Przecież ty też masz rodzinę, troje dzieci. A jednak...

— Daj spokój.

Kondratek szeleści płachtą gazety. Na ostatniej stronie ogłoszenia. Pracownicy poszukiwani.

Kondratek jest inny niż wszyscy. Lubi ryzyko. Jest przy tym uparty i chociaż nie wszystko mu się układa w życiu tak jakby chciał, nie narzeka.

Ulica biegnie pochyło w stronę portu. Odczuwa się bliskość morza. Zimniejszy wiatr dmucha porywami. Jezdnia szklista od deszczu.

W drewnianym baraku, ciepłym i pustym, dwa okienka przysłonięte firanką. Kondratek zastukał w szybkę.

— Rezerwiści? — zapytała kobieta w czerwonym sweterku.

Podała jakieś formularze, sprawdziła dowody. — Zakład się zgadza na dodatkową pracę?

Kondratek mrugnął do mnie, a do urzędniczki:

— Tak.

— Proszę napisać oświadczenie.

W poczekalni do lekarza siedziało z dziesięciu mężczyzn. Niektórzy ubrani w granatowe kombinezony.

Ciekawa musi być taka praca — pomyślałem. — Nowi ludzie, nowe twarze. Port, to jakby niewielkie miasto podzielone ulicami. Wszystko w ciągłym ruchu, porusza się kierowane niewidzialną ręką.

Pielęgniarka w białym kitlu wywołała nasze nazwiska. Za nami weszli dwaj studenci w okularach. Badanie słuchu, czy chorowaliśmy na coś poważniejszego. Oczywiście, że nigdy nam coś podobnego się nie przydarzyło. Wzrok mieliśmy prawie że sokoli.

Studenci stanęli przed tablicą, na której literki od dużych, kobylastych, aż do całkiem maciupeńkich.

— Proszę zdjąć okulary — powiedziała kobieta w kitlu, — proszę czytać — i wskazała literki w czwartym rzędzie, później niżej. Następny podobnie bez szkieł — zanotowała coś w kartotece.

— Zawód wykonywany? — zapytała.

— Niepracujący, studenci.

— To już wszyscy? — podała opieczętowane i zapisane niewyraźnie po lekarsku karty zdrowia. Panowie — zwróciła się do chłopców rosłych i muskularnych — niestety nie mogą u nas pracować. Słaby wzrok.

— A w okularach nie można? — zapytał jeden z nich.

— Nie. Port pracuje na trzy zmiany. Wieczorem czy w nocy przy słabej widoczności może zaistnieć wypadek.

— Damy sobie radę. Pracowaliśmy...

— Proszę nie dyskutować. Ja odpowiadam za was panowie. Bardzo mi przykro.

Wyszliśmy na długi korytarz i przy wyjściu zapaliliśmy papierosa. Studenci szli za nami. Czuliśmy ich spojrzenia, zazdrosne spojrzenia dorastających mężczyzn, którzy tu nie mogli nimi być. Mieliśmy tę nad nimi przewagę. W pewnej chwili zrobiło się nam głupio i niewyraźnie. Przyszliśmy tu, by zarobić i pokryć braki w naszych kieszeniach. Przebawiliśmy za dużo i staraliśmy się to nadrobić. Oni byli w sytuacji bardziej krytycznej. Byli studentami wyliczającymi się z każdego grosza.

NIE ma we mnie urazy do kolegi Kondratka za to jego nieprzyjście na dworzec o siódmej. Chyba nie. Ale nachodzi człowieka niekiedy chętka skosztowania życia inaczej.

Byliśmy w porcie dwa razy. Odczuliśmy to w kościach jak po forsownym meczu oldbojów.

— To nie jest to — powiedział Kondratek zrezygnowany i odrzucił niedopałek papierosa. — Wtedy było inaczej. Kości mi się skleiły, czy co?

Mówiliśmy: pójdziemy do portu, przy robocie fizycznej to i mięśnie ładne wyskoczą. Nikt wtedy nie zaszura, gdy mięśnie będą twarde jak stal.

I widzieliśmy starych sztauerów, jak machali cukier. Oglądaliśmy robotę najgorszą — cement. Jeśli nie umiesz poddać pleców, przerwiesz się jak amen. To tak, jakbyś źle sobie łopatę do ręki ułożył. Wtedy o odciski nietrudno.

Zamierzaliśmy pobierać premie za wytrwałość. Są takie po trzech tygodniach nieprzerwanej pracy. Odeszliśmy jak niepyszni, chociaż gazety podawały: ZARZĄD PORTU WZYWA PRACOWNIKÓW REZERWY GRUP A, B I C NA WSZYSTKIE ZMIANY AŻ DO ODWOŁANIA.

— I jak? — zapytałem z głupia frant.

Obejrzał się, czy obok ktoś nie stoi, żeby zakląć. W oknie wystawowym odbijała się postać kobiety.

— Trzeba próbować — powiedział, cedząc słowa — może do wędzarni ryb?

— Gdzie?

— To gdzieś za Wisłą. Dobrze płacą.

— Fajnie. A nie będziemy śmierdzić tą rybą?

— Frajer, ale forsa. Dobrze płacą.

— Zgoda. Jutro po południu koło dworca.

— Cześć!

Teatr mój widzę ...powszechny

(Dokończenie ze str. 1)

Recenzje spektakli i mniej lub bardziej obszerne omówienia działalności placówek teatralnych nie zastąpią przecież bezpośredniej konfrontacji poglądów jakimi teatru, które, na co liczymy, wyjaśni nam, a przede wszystkim czytelnikom „Kameny". Nasze pojmowanie modelu teatrów wojewódzkich. Jeśli w stać za poczynionymi tu uwagami i ewentualnymi propozycjami reform życia teatralnego pojdą konkretne decyzje, jeśli treść wypowiedzi dotrze do właściwych uszu, będziemy uważali, że cel spotkania został osiągnięty. Nawet jednak wówczas, kiedy nadzieje nasze okażą się nierealne, nie zmienimy zdania co do celowości zorganizowania tej dyskusji. Ze swej strony pragnę zapewnić, że jak dotychczas, tak i w przyszłości „Kamena" nie przestanie interesować się ogólną sytuacją i twórczością teatrów Polski wschodniej.

I. J. KAMIŃSKI: Nie powinno ulegać wątpliwości, że opinię społeczną o teatrze kształtuje jakość końcowego efektu pracy scenicznej, jakim jest inscenizacja. Teatr może liczyć na frekwencję jeśli prezentuje repertuar interesujący, realizowany przez sprawny zespół aktorski, kierowany przez reżysera o zdecydowanej indywidualności twórczej. Zarysowany mechanizm powstawania pochlebnej opinii jest jednak tak prosty, że aż podejrzany. Bo cóż to w końcu znaczy „repertuar interesujący"? Złożony ze sztuk Mrożka, Pintera, Witkacego i Becketta, czy też — dla odmiany — oparty na ubiegłowiecznych ramotkach, przetykanych od czasu do czasu wielkim dramatem romantycznym? Dla jednych taki, dla drugich inny.

Wydaje mi się, że na prowincji nie istnieje opinia teatralna jako zjawisko w pełni określone. Tym bardziej na naszych terenach, gdzie kultura teatralna w społeczeństwie nie jest najwyższa, a różnice kulturowe pomiędzy warstwami społecznymi dość poważne. Obserwujemy natomiast u p o d o b a n i a teatralne — różne wśród różnych grup socjalnych. Te z nich, które niejako utrzymują teatry, przekładają repertuar lekki, rozrywkowy, tradycyjnie podany. Kryteria ujednolicone przykłada natomiast do twórczości teatrów wojewódzkich krytyka profesjonalna, dla której — nierzadko — wzorcem jakości są inscenizacje zrodzone w warunkach metropolii teatralnych, na przykład w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu. Oceny, mające taki właśnie system odniesienia, są często niekorzystne dla scen wojewódzkich, do których przylgnęła już nazwa „prowincjonalne". Nie chodzi przy tym, rzecz jasna, o geografię, lecz o sprawy daleko bardziej istotne dla każdego środowiska twórczego. Mówi się więc o tych teatrach, że nie posiadają zbyt wysokich ambicji artystycznych, że repertuar ich jest eklektyczny, że brak im konsekwencji w realizowaniu jakiegokolwiek, możliwego do przyjęcia, programu. Obok „Wesela Fonsia", „Czekając na Godota", dziś to, jutro coś zupełnie innego. Wskazuje się zgrzem na niedostatki profesjonalne aktorów. Na ile oceny te są prawdziwe, na ile krzywdzące? Jaki teatr wojewódzki jest, jaki być powinien?

ST. BIELIŃSKI: — Zacznę od rzeczy, moim zdaniem, najważniejszej, od środowiska społecznego, dla którego przygotowujemy repertuar. Niektórzy z Państwa sądzą zapewne, że mam na myśli inteligencję? Nie, inteligencja nie interesuje się miejscowym teatrem! Co wcale nie przeszkadza jej krytykować naszych decyzji repertuarowych, domagać się teatru intelektualnego. A jeśli już pojawi się na scenie sztuka zaspokajająca najbardziej wyrafinowane gusta, sala świeci pustką.

Jestem półtora roku w Rzeszowie i miałem dość czasu, aby przekonać się do widza tzw. przeciętnego. Dla takich właśnie odbiorców powinien pracować teatr wojewódzki. Nasza działalność powinna odbywać się pod hasłem „ewolucji", a nie „rewolucji". Warto przy tym wiedzieć, że w naszych warunkach trudniej zrobić tzw. lekkie przedstawienie, niż np. dramat, ponieważ ten ostatni pochłania mniej środków materialnych. Do Rzeszowa przyjechałem z myślą wprowadzenia na scenę Pintera, Ionesco, na szczęście opamiętałem się w porę. Wydaje mi się, że istotne kryterium oceny pracy sceny wojewódzkiej powinno zawierać się w zdaniu: na ile, w danych warunkach, teatr dał dobre przedstawienie. A warunki te nie zawsze są obiecujące. Dyrektorzy narzekają na ciągłe ucieczki młodych, zdolnych aktorów do centrów teatralnych, lecz osobiście nie mam do młodzieży pretensji. Limity finansowe uniemożliwiają aktorom dodatkowe zarobki — za ciężka, było nie było, pracę. Dlaczego?

J. TOROŃCZYK: — Uwagi dyrektora Bielińskiego o „obecności" inteligencji na widowni pokrywają się z moimi osobistymi obserwacjami i doświadczeniami. Kilka dyskusji na tematy teatralne, które przeprowadziliśmy w Lublinie ze studentami, potwierdziły dodatkowo, jak nikła jest znajomość tej dziedziny sztuki w kręgach młodzieży akademickiej, czyli wśród potencjalnych odbiorców repertuaru trudniejszego. Paradoksalne, lecz prawdziwe: spektakle interesującego teatru uniwersyteckiego „Gong-2", wielokrotnie nagradzanego na różnych festiwalach, ogląda raptem po kilkadziesiąt osób... Padło tu pytanie o model teatru wojewódzkiego. Jedyny teatr w województwie musi być dostępny dla wszystkich. Nie ma wątpliwości, że repertuar przeznaczony dla szerokiego kręgu odbiorców winien posiadać takie cechy, aby łatwo trafiał w zainteresowania poszczególnych grup społecznych, aby przyciągał ludzi do teatru.

Niestety, tak się składa, że repertuar ambitny, politycznie i ideowo zaangażowany, ze względu na poważną i złożoną problematykę nie cieszy się frekwencją. Jest to zjawisko ogólniejsze, sygnalizowane nie tylko w Polsce. Pomimo to teatr nie może — moim zdaniem — rezygnować z takiej linii repertuarowej, ponieważ oznaczałoby to zaprzepaszczenie ideowo-twórczej koncepcji teatru. Ale teatr działa w oparciu o określone zasady planowo-ekonomiczne. W takim układzie najmniejsze zachwianie równowagi w planie repertuarowym grozi albo niewykonaniem wskaźników ekonomicznych, albo zaprzepaszczeniem nadrzędnej idei twórczej. I tu zbliżamy się do problemu o nazwie „dotacje". Są one zasadniczo z roku na rok podobne, ulegają niewielkiej tylko zwyżce, a przy tym ustalane w oderwaniu od założeń repertuarowych. Najpoważniejszym jednak mankamentem jest ustalanie repertuaru znacznie wcześniej, niż precyzowanie wskaźników na przyszły rok budżetowy. W ten sposób powstaje koncepcja repertuarowa bez możliwości realizacyjnych. Proponuję więc przede wszystkim zsynchronizować precyzowanie planów repertuarowych z planami finansowymi, przy czym należy zastanowić się nad następującą propozycją: zrezygnować ze stałej, jednakowej dotacji na poszczególne lata, a ustalać ją raz większą, raz mniejszą, w zależności od koncepcji repertuarowych w poszczególnych sezonach. Może to stworzyć doping dla teatru — lepszy repertuar, większa dotacja. Zdaję sobie sprawę z trudności, które mogą tu wystąpić przy ustalaniu kryteriów, ale, moim zdaniem, takie rozwiązanie jest bardzo potrzebne naszym teatrom.

I. J. KAMIŃSKI: — Jakie, konkretnie, środowiska tworzą widownię teatralną?

L. PIOTROWSKI: — W Białymstoku przede wszystkim młodzież szkolna.

ZDZ. GRYWAŁD: — Głównym odbiorcą teatru kieleckiego jest także młodzież szkolna (ok. 70 proc.), co nie znaczy, że repertuar ogranicza się do lektur szkolnych. Niestety, najrzadziej na widowni spotkać można robotników.

ST. BIELIŃSKI: — Nawet w tych osiedlach czy miasteczkach robotniczych, gdzie znajdują się całkiem funkcjonalne i ładne sale widowiskowe, trudno oczekiwać frekwencji.

ZDZ. GRYWAŁD: — Szalonym natomiast powodzeniem wśród robotników cieszą się przedstawienia operetki, pomimo drogich biletów. W niektórych miastach o charakterze przemysłowym, jak np. w Ostrowcu Świętokrzyskim, mamy jednak widownię składającą się przede wszystkim z robotników.

J. TOROŃCZYK: — Zrobiliśmy interesujący, jak sądzę, eksperyment w Puławach, gdzie daliśmy przedstawienie w hali fabrycznej „Azotów". Oglądało je przeszło 2 tysiące ludzi.

ST. BIELIŃSKI: — Czy z tych 2 tysięcy zaczął ktoś regularnie odwiedzać teatr?

J. TOROŃCZYK: — Nie wiem, ale obecnie przygotowujemy się do kolejnego spektaklu.

ZDZ. GRYWAŁD: — Koledzy zgodzą się zapewne, że mamy świetną, sympatyczną widownię w terenie, lecz kłopoty w bazach.

R. SMOŻEWSKI: — Obawiam się, że wypowiedź moja nie wzbudzi aprobaty, a raczej sprzeciw. Mieliśmy mówić o m o d e l u teatru wojewódzkiego, a zewsząd słychać rady jak ulepszyć ten stwór, który istnieje. Zapytam: w jakim celu?! Potrzebne są zmiany zasadnicze, uzasadnione rolą teatru w takich miastach jak np. Kielce.

Teatry wojewódzkie nie mogą być gorszą kopią scen stołecznych, albowiem mają, a raczej mieć powinny, nieco inne cele. Powinny zaspokajać szeroki wachlarz teatralnych potrzeb regionu. Trzeba więc rozbudować repertuar dla najmłodszego widza, który obecnie nie cieszy się zbyt wielką sympatią teatrów, warto zorganizować kilka małych zespołów estradowych i posłać je w teren, aby skutecznie wyparły tanią chałturę. Niesłusznie też lekceważymy kabaret, który, jeśli zapewni mu się dobre warunki produkcji, może przy okazji ściągnąć do naszych miast sporo dobrych aktorów i zatrzymać ich na stałe. Chodzi w końcu o rozszerzenie zakresu działania scen wojewódzkich, albowiem obowiązki nasze w stosunku do społeczeństwa są niepomiernie większe, inne i bardziej zróżnicowane niż teatrów w metropoliach. Czego potrzeba, aby teatr taki powstał? Więcej ludzi, więcej pieniędzy.

ST. BIELIŃSKI: — Nie wyobrażam sobie takiego kombinatu. Nie, to nierealne. W Rzeszowie istnieje zresztą teatr dla dzieci „Kacperek", jest i „Estrada".

L. PIOTROWSKI: — Wspomniałem już, że widownia teatru białostockiego składa się przede wszystkim z młodzieży...

ZDZ. GRYWAŁD: — Aktorzy, którzy sprawdzą się w kabarecie, uciekną do Warszawy, Łodzi...

ST. BIELIŃSKI: — Niewątpliwie. Albo zasilą jedną z licznych trup big-beatowych. W przedstawieniu kabaretowym „Julia, czyli delikatność uczuć" ujawniła się świetna debiutantka... Dzisiaj występuje w zespole mocnego uderzenia, znakomicie zarabia, zapomniała o teatrze.

J. TOROŃCZYK: — Jeśli zgodzicie się, Panowie, że brak nam pieniędzy na działalność zasadniczą, to powiedzcie, skąd wziąć środki na taki kombinat?!

ZDZ. GRYWAŁD: — Przepraszam, ja mam za dużo pieniędzy. Płacę wysoki czynsz za zamknięty lokal teatru w Radomiu, co może potrwać jeszcze z pięć lat, dysponuję strażą ogniową, która tak się przejęła teatrem, że jeździ na chałtury pożarowe... Nie mogę jednak zaangażować dobrego, wysoko płatnego aktora, bo na to środków brak.

Nie zgadzając się z propozycją kol. Smożewskiego, przyznać jednak muszę, że u nas kombinat istnieje od dawna. W Radomiu teatr jest nieczynny, ale obecność zespołu nie ulega wątpliwości. Jeśli odwiedza on Kielce, otrzymuje tzw. dodatek terenowy, co w rezultacie obciąża nasz budżet. Specyfika województwa różni nas, pomimo „unii", od pozostałych trzech partnerów. Zresztą, niewiele o sobie nawzajem wiemy, w tajemnicy utrzymujemy plany repertuarowe i marszrutę, co doprowadza czasami do niespodziewanych przez gospodarzy danego terenu wizyt zespołów sąsiednich teatrów wojewódzkich. Kiedyś także dotacje były jawne, dziś... proszę mnie nie zmuszać do zwierzeń na ten temat, nie powiem słowa. Spotkania przedstawicieli teatrów wojewódzkich są konieczne; ujawnienie planów i trudności nie powinno przecież nikomu zaszkodzić.

J. TOROŃCZYK: — Proponowałem niedawno dekonspirację planów usługowo-ekonomicznych wszystkich teatrów oraz przeprowadzanie co trzy lata ich korekty i aktualizacji. Plany usługowe poszczególnych teatrów, ustalone w zamierzchłej przeszłości, pozostają do dzisiaj na ogół w nie zmienionych prawie wskaźnikach. Nie ulegają fluktuacji i przewartościowaniu ani na lepsze, ani na gorsze. Niemal każdy teatr ma inną dotację, inne plany i inne wskaźniki. Ustalanie ich często oderwane jest od istotnego zapotrzebowania środowiska, możliwości finansowych i artystycznych przedsiębiorstwa. Nie mamy szerokiego rozeznania i każda dyrekcja pracuje indywidualnie, bez możliwości porównawczych i konsultacyjnych w tym zakresie.

I. J. KAMIŃSKI: — Z dotychczasowej dyskusji odnoszę wrażenie, że repertuarowe i — nazwijmy to tak — frekwencyjne kłopoty teatrów wynikają w dość poważnym stopniu z wadliwego systemu organizacyjnego tych placówek. Mam na uwadze brak synchronizacji terminów ustalania dotacji, repertuaru i angażowania aktorów. Można przypuszczać, że zreformowanie sytuacji w tym właśnie zakresie ułatwiłoby teatrom wypracowanie realnego profilu artystycznego. Przyznaję, że pan Smożewski nieco mnie zaszokował swoją propozycją. Wątpliwe to jednak panaceum na aktorskie ucieczki z miast prowincjonalnych, jeśli uwzględni się możliwości zarobkowe aktora w stolicy i na prowincji.

J. TOROŃCZYK: — Sensowne dobranie zespołu to sprawa pierwszej wagi. A chyba każdy teatr w kontekście nowej umowy zbiorowej ma za mały fundusz bezosobowy. Wyłania się zatem nonsens bez precedensu. Nie jesteśmy w stanie obsadzać dobrych, wysoko płatnych aktorów ze względu na dodatkowe płatności, wynikające z norm, popołudniówek i trzecich zajęć. Przez to właśnie umniejszamy świadomie wartość przedstawienia, obsadzając je aktorami młodymi, o niskich uposażeniach i małych normach, a zarazem niewielkich kwalifikacjach zawodowych. Powstaje sytuacja bez wyjścia, bo przy takiej obsadzie maleje frekwencja i powstają straty. Stan ten wymaga również reformy. Przy naliczaniu funduszu bezosobowego powinno uwzględniać się zespół konkretnych osób, a nie jakąś enigmatyczną grupę.

ZDZ. GRYWAŁD: — Aktorzy młodzi, świeżo upieczeni absolwenci uczelni teatralnych, nie doceniają przy tym szansy, jaką daje scena wojewódzka. Tu mogą grać często, a więc dokształcać się! W rzeczywistości: wyjeżdżają na prowincję, jeśli nie uda im się zaczepić w Warszawie.

ST. BIELIŃSKI: — Istnieje, co prawda, zarządzenie Ministra Kultury i Sztuki zapobiegające angażowaniu absolwentów uczelni łódzkiej, warszawskiej i krakowskiej w tych miastach, ale od początku nie jest ono honorowane.

J. TOROŃCZYK: — Na wyobraźnię młodego aktora działa przede wszystkim ekran telewizyjny i filmowy. To jest dopiero szansa!

ST. BIELIŃSKI: — Zapytałem niedawno takiego aktora, któremu paliło się do stolicy, czy ma jakąkolwiek pewność, że znajdzie miejsce w telewizji. „W Warszawie — odpowiedział — nie mam gwarancji, że wystąpię w TV, ale w Rzeszowie mam gwarancję, że nie wystąpię".

J. TOROŃCZYK: — Dojdzie do tego, że nasze teatry staną się przystanią dla aktorów najsłabszych. Z Lublina odeszli Mikulski i Machulski. Dokąd?

ZDZ. GRYWAŁD: — Niemal każda studentka wyższej szkoły teatralnej przerwie studia, jeśli ma szanse zagrać w filmie...

I. J. KAMIŃSKI: — Pozwolę sobie wywołać duchy nieobecnych ciałem; usprawiedliwia mnie jednak pewność, że mogą oni — jako osoby fizyczne — zabrać głos na naszych łamach. Czy obecność krytyków w życiu teatralnym Polski wschodniej jest na tyle widoczna, że stanowi ważny jego element?

L. PIOTROWSKI: — Nasze zarzuty pod adresem recenzji teatralnych, które ukazywały się w „Gazecie Białostockiej", odparowano krótko i osobliwie: „Nie oczekujcie od codziennej gazety fachowych publikacji". A my sądziliśmy, prostoduszni, że kompetencje powinny obowiązywać w każdej pracy. Ostatnio recenzji nie ma, a stan taki uważamy za najlepsze rozwiązanie. Uzgodniliśmy przy tym, że „Gazeta" będzie popularyzowała teatr, unikając oceny spektakli. Chętnie natomiast widzielibyśmy rzeczową krytykę na łamach „Kameny". Zapraszam na premierę „Policji" Mrożka.

ST. BIELIŃSKI: — No cóż, ale jesteście w sytuacji wyjątkowej... Chciałbym przy okazji przytoczyć wypadek, kiedy to rzeszowskie przedstawienie stało się dla krakowskiej recenzentki pretekstem do napisania o... warszawskim spektaklu Axera. Nie tylko aktorzy fascynują się stolicą.

J. TOROŃCZYK: — Uważam, że krytyki u nas nie ma, są natomiast źle informujący recenzenci. Warto więc, od czasu do czasu, zaprosić z zewnątrz krytyka, który zna dogłębnie sztukę teatru.

ZDZ. GRYWAŁD: — Prasa kielecka nie jest zachwycona miejscowym teatrem, porównuje nas do scen warszawskich... ale reklamuje nas nieźle. Pomimo zastrzeżeń.

M. A. JAWORSKI: — Zainicjowana przed laty „Unia 4 województw" znajduje się obecnie w stanie nader żałosnym. A tu właśnie padło kilka słów o celowości wzajemnych kontaktów pomiędzy teatrami Polski wschodniej. Nadarza się więc okazja ożywienia ruchu na trasie Białystok, Kielce, Lublin, Rzeszów.

J. TOROŃCZYK: — Całkiem dobry pomysł. Potraktujmy więc to spotkanie jako start do wymiany, która, mam nadzieję, przyniesie wzajemne korzyści. Chętnie widzielibyśmy w Lublinie kieleckiego „Rewizora".

ZDZ. GRYWAŁD: — Proszę bardzo.

J. TOROŃCZYK: — My proponujemy „Mutter Courage".

ZDZ. GRYWAŁD: — Może taka właśnie forma bezpośrednich kontaktów pozwoli na bliższe poznanie warsztatu teatralnego sąsiadów. Znane „Spotkania Kaliskie", których założeniem jest rzekomo konfrontacja różnych koncepcji inscenizacyjnych, warsztatu aktorskiego itp., w praktyce nie mają z tym nic wspólnego. Wygląda to mniej więcej tak: wieczorem przyjazd do hotelu, rano próba, wieczorem spektakl, a zaraz potem jazda do domu. Poza tym termin tych „Spotkań" jest niedogodny.

ST. BIELIŃSKI: — Całkowicie akceptuję propozycję wymiany zespołów.

L. PIOTROWSKI: — Wymiana zespołów? Oczywiście, ale także reżyserów i scenografów. Już teraz zapraszam serdecznie do Białegostoku kol. Dobrowolskiego.

ZDZ. GRYWAŁD: — Wiele też dobrego dla naszych teatrów mogłaby uczynić telewizja, gdyby raz w roku pokazała wybraną inscenizację sceny wojewódzkiej.

M. A. JAWORSKI: — Czy już teraz mógłby ktoś z Panów przedstawić nam ogólny zarys repertuaru na następny sezon teatralny?

ST. BIELIŃSKI: — Proszę Pana, jeśli nie wiem, ile otrzymam pieniędzy, jacy aktorzy odpadną, jacy przyjdą, jeśli nie znam — z tzw. przyczyn obiektywnych — szeregu innych momentów ważnych przy planowaniu, to na jakiej podstawie mam konstruować repertuar?! Co prawda, jeśli to Pana zaciekawi, każdy doświadczony reżyser ułoży taki plan w ciągu dziesięciu minut, według wiadomego nam schematu ilościowego, którego jednak nie ujawnię do końca. Mogę tylko powiedzieć, że znajdzie się w nim jedna komedia muzyczna, plus coś z fajerwerkiem i szczękiem oręża.

M. A. JAWORSKI: — Dziękuję Państwu za wielostronną dyskusję, za to pracowite spotkanie, które, jestem o tym przekonany, nie będzie ostatnim.

Powstrzymuję się przed tzw. podsumowaniem dyskusji, albowiem liczba i waga poruszonych zagadnień domagają się szerokiej, przekraczającej kilka czy kilkanaście zdań syntezy. Jestem przy tym zdania że problemy zostały zarysowane wystarczająco jasno. Reszta należy do czytelników, na których listy oczekujemy. Uważamy bowiem, że dyskusja wokół tak istotnych dla naszej kultury spraw nie powinna kończyć się w kręgu specjalistów. Mamy również nadzieję, że opublikowana dyskusja stanie się przedmiotem uważnej lektury odpowiedzialnych resortów i instytucji.

Relacja

Ireneusza J. Kamińskiego

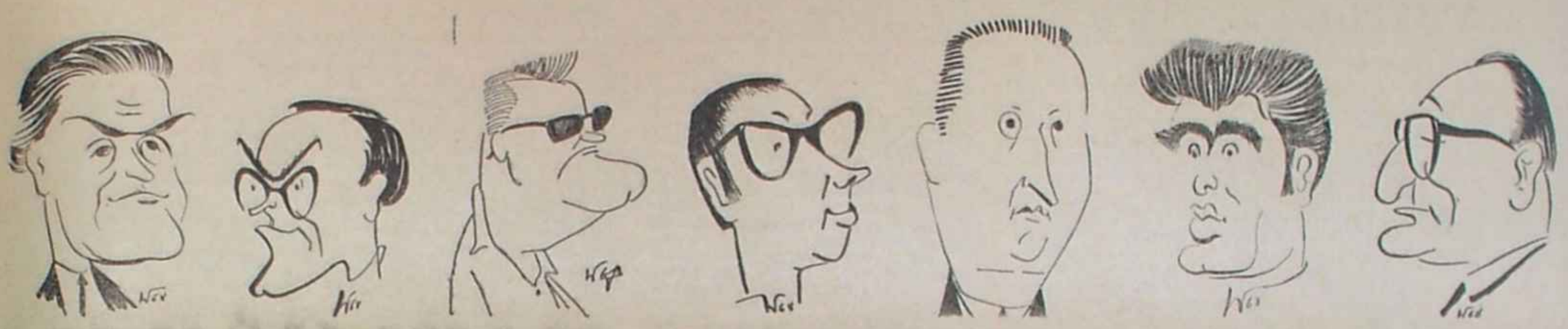

St. Bieliński — A. Dobrowolski — Zdz. Grywałd — R. Kuzyszyn — L. Piotrowski — R. Smożewski — J. Torończyk

Rys. Piotr Wollenberg

moje LEKTURY

OD debiutu poetyckiego Tadeusza Różewicza upłynęło przeszło dwadzieścia lat. Tytuł pierwszego tomu był bardzo znamienny: „Niepokój". To zresztą był nie tylko tytuł, ale oznajmienie stałej cechy tej poezji. Zwrócił na to ostatnio uwagę Hieronim Michalski w rzeczowym wstępie do wydanych niedawno „Wierszy i poematów" Różewicza. Już w tamtym tomie ustalił poeta podstawy swojej estetyki i wyznaczył jej perspektywy. Wydawać by się też mogło, iż sformułowanie tego, co się potem zwykło zwać „różewiczowskim" modelem wiersza, dokonało się od razu. Tak wszakże nie było. Właśnie w „Niepokoju" znajduje się grupa utworów, których potem Różewicz nie przedrukowywał, nie włączył ich nawet do „Poezji zebranych". Trudno mu odmówić racji, nie były to wiersze dobre. Ale w ten sposób odciął poeta pomost łączący go bezpośrednio z poprzednim pokoleniem, a także z generacją rówieśną. Był to gest samookreślenia: zastrzegał sobie poeta prawo własności do wszystkiego, co czynił, oraz wykonywania tego na własny rachunek. Nie obciąża go bowiem działalność późniejszych imitatorów. Ci zresztą, kiedy poezja Różewicza została zaatakowana, poddali się innym wiatrom i wiarom. W ten sposób poezja Różewicza pozostała nadal osamotniona, a poeta znalazł się sam na sam ze światem. Osamotniona, ale nie wyobcowana. Wierna sobie i równocześnie zaprzeczająca.

Bohater liryczny wierszy Różewicza stale poszukuje oparcia — poprzednio wobec chaosu wojny, teraz — w obliczu chaosu codzienności. Przywracanie porządku oznacza odbudowywanie zasad moralnych, a nie estetycznych. Takie jest bowiem credo Różewicza, u którego etyka jest przed estetyką. W imię życia mówił poeta o śmierci poezji, później uznał ją tylko za zabawę, która jednak stale towarzyszyć będzie losowi człowieka. A to już bardzo dużo. Poezja jako zabawa nie może być rozumiana dosłownie czy powierzchownie. Wszak zabawa to nie tylko rozrywka, to także wytchnienie i pociecha, to odbudowa człowieka. A więc funkcja poezji bardzo pierwotna.

Jest to poezja sceptyczna wobec siebie, stale niezadowolona i stojąca na rozdrożu. Coraz częściej określa samą siebie, ale definicje tej poezji wykluczają się wzajemnie. Staje się ona w coraz większym stopniu autotematyczna, próbuje uchwycić celowość i sens własnego istnienia. Kiedy się tu mówi o poezji, przychodzą obrazy związane z krwią: „poezja sączy się z otwartej rany". Krew może być składnikiem dramatycznej wizji, ale tu pełni rolę symbolu życia. I w tym podobieństwo czy nawet — w wypadku poety — tożsamość życia i poezji. Toteż negacja poezji ustępuje u Różewicza przekonaniu, że jednak „poezja powlecze się dalej". Niewiadomy jest wszakże kierunek tej drogi i tu pojawiają się nowe zwątpienia i niepokoje. Związane są one tym razem z przyszłością tej poezji, z niesionymi przez nią wartościami. Z ich trwaniem i przemijalnością. „Czy jestem larwą nowego" — oto pytanie bardziej dramatyczne niżby się na pozór wydawało.

Wolno sądzić, iż te wątpliwości stanowią najcenniejszą może wartość twórczości poetyckiej Różewicza lat ostatnich. Przeciwdziałają one samouspokojeniu, łamiąc istniejące i wysłużone stereotypy. Nawiązują one także do pytań kierowanych ostatnio w stronę poezji Różewicza: co teraz ona nowego wnosi, jakie prawdy o świecie odkrywa. Na drugą część pytania nie otrzyma się pełnej odpowiedzi. Bowiem twórczość Różewicza tworzona jest z pozycji świadka, przenikliwego obserwatora dziejących się rzeczy. Opis i wyrażanie świata — oto główne jej zadanie. Nie uprzedza ona, lecz stwierdza, nie przepowiada, ale ustala położenie. Jeśli nawet nie przekształca świata, to przynajmniej go odciska. A że są to świadectwa poety wyjątkowo wrażliwego i świadomego siebie, przedstawiają wartość niezastąpioną, bowiem zawierają obraz czasów, których dotyczą. Będą się one przeciwstawiać mniej lub bardziej skutecznie oskarżeniom współczesnej poezji.

A piękno tej poezji? Daleko jesteśmy od peiperowskiego postulatu tworzenia pięknych zdań, bliżej za to określenia Norwida. A zresztą:

to nie nasza wina
że zamiast pięknych
dobrych i radosnych
rodzimy potwory (...)
tworzymy razem
te formy dzikie pokraczne
warczenie i pomruki
jęki i mlaskanie
klaskanie i milczenie

Mamy więc poezję, na jaką zasłużyliśmy i jakiej jesteśmy godni.

Tadeusz Kłak

Tadeusz Różewicz: Wiersze i poematy. Wybór i wstęp Hieronima Michalskiego. Warszawa 1967. PIW.

Proza realistyczna i co

Maciej Podgórski

Przed maturą

KMICIC dlatego walczył ze Szwedami, że chciał zmazać swoje winy wobec ojczyzny i odzyskać łaski kobiety, którą kochał. Wokulski dlatego handlował „ze wschodem", że reprezentował te dążenia społeczne, którymi kierowała przede wszystkim troska o dobro gospodarcze zostającego pod zaborem kraju.

Powieść (czy nowela), do której jesteśmy przyzwyczajeni, cała zrobiona jest na zasadzie „dlatego że". Wprowadza nas w świat do końca zrozumiały i uporządkowany, gdzie wszystko dzieje się jako szereg ściśle zazębionych przyczyn i skutków i wszystko tłumaczy się życiowym prawdopodobieństwem. To fabuła, na którą składają się — jak wiadomo — bohaterowie, akcja, tło i miejsce akcji.

Postępki bohatera są określone stałymi cechami jego psychiki, społeczną przynależnością, autentycznymi wydarzeniami historii. Czyniąc, utożsamia się on ze swoją działalnością. Kogoś kocha, nienawidzi, z kimś walczy. Jako reprezentant warstwy krzywdzonej dobija się o społeczną sprawiedliwość. Jako członek podbitego narodu — o wolność. Te zmagania posuwają naprzód akcję.

Wypadki dzieją się w określonych miejscach. Bogactwo szczegółów krajoznawczych, detale wyglądu postaci, informacje o pogodzie, dziedziny barw i dźwięków. Wszystko — „jak żywe". I wszystko ma czynić i czyni świat powieści wiarygodnym, krwistym, bliskim czytelnikowi.

Historia naszego bohatera opowiedziana jest jako coś przeszłego („zrobił", „poszedł", „rzekł"...), jako już zamknięty, gotowy ciąg zdarzeń, gdzie sfera obiektywnych wypadków wyraźnie jest oddzielona od wewnętrznych przeżyć postaci. Opowiada tę historię ktoś (zwany uczenie narratorem), kto panuje doskonale nad ukazaną rzeczywistością, stoi jakby ponad nią, kto uporządkował i ocenił fakty (pośrednio lub bezpośrednio), kto jest sumieniem bohatera i autorytetem dla czytelnika.

Wiemy, kiedy zdarzyła się i jak długo trwała interesująca nas historia, nie wiemy, kiedy i jak długo była opowiadana. Nie mamy wszelako powodu nie wierzyć w jej prawdziwość, bo — jak sądzimy — zza pleców narratora najczęściej uśmiecha się do nas porozumiewawczo i mądrze sam autor, który powiada: chcę wam pokazać panoramę określonego społeczeństwa w konkretnym momencie historycznym, przedstawić miejsce bohatera w tym społeczeństwie, obraz charakterystycznej psychiki, chcę was przekonać do pewnej racji politycznej lub reformy społecznej, chcę pouczyć o prawdzie moralnej lub pokrzepić wasze serca.

Ten nieco schematyczny opis wyimaginowanego utworu przywołuje najbardziej znamienne właściwości prozy realistycznej, ukształtowanej w II połowie XIX stulecia.

Wiek XX wprowadził tu szereg zjawisk zdecydowanie opozycyjnych, z którymi łączą się osoby tzw. wielkich reformatorów powieści: Prousta, Joyce'a, Kafki, Manna, Camusa... Nie oznacza to, że w naszej epoce nurt prozy realistycznej przestał być żywotny. Przede wszystkim ma on nadal wielką popularność wśród czytelników. Po drugie — i to jest chyba ważniejsze — sami twórcy nawiązują do tych tradycji, co posiada swoje obiektywne uzasadnienia, jak o tym świadczy złożona kwestia realizmu socjalistycznego (szczególnie w kraju radzieckim w pierwszych porewolucyjnych latach — związana m. in. z pisarstwem Gorkiego, którego setna rocznica urodzin niedawno minęła).

Na gruncie literatury polskiej XX wieku powszechne odwołanie się i wykorzystanie bogatych tradycji realizmu zdarzyło się przynajmniej dwa razy. Gdy (po r. 1918) trzeba było poddać artystycznej analizie rzeczywistość historyczno-społeczną nowo odzyskanego państwa i poznać rzeczywistości tej dziejowe zaplecze — wystąpili wtedy, z różnych pozycji światopoglądowych, Żeromski, Dąbrowska, Kruczkowski, Nałkowska...

Drugi raz — gdy (po r. 1945) zaistniała konieczność zaświadczenia prawdzie katastrofy II wojny oraz szukania politycznych i społecznych przyczyn kataklizmu, a w szczególności klęski wrześniowej.

W obliczu potrzeby szybkiego rozliczenia się z balastem nieludzkich doświadczeń powstała wówczas fala literatury dokumentarnej (reportaż, pamiętnik — nierzadko beletryzowane), dotyczącej różnych frontów walki z faszyzmem, ale szczególnie mówiącej o koszmarze przeżyć obozowych (Rusinek — „Z barykady w dolinę głodu", Szmaglewska — „Dymy nad Birkenau"...). Była to literatura emocjonalnej rejestracji krzywd, porażek i zwycięstw.

Naturalnym przedłużeniem tego procesu, wyrosłym z tej samej konieczności „zaświadczenia prawdzie" i z tej samej potrzeby „rozliczenia się", przedłużeniem nie wykluczającym wszakże szerszej refleksji historycznej, było sięgnięcie po gotowe i wypróbowane już środki realizmu. Najpełniej wyraża te dążenia z jednej strony cykl K. Brandysa „Między wojnami", nawrót do powieści realistycznej „z bohaterem i biografią", fragment tzw. obrachunków inteligenckich tego czasu (stosunek inteligencji do wydarzeń historii najnowszej — jako problem owego cyklu). Z drugiej zaś strony wyraża owe tendencje — szczególnie wtedy żywotna odmiana, „syntetyzująca", prozy realistycznej — powieść polityczna (Putramenta „Wrzesień" i „Rzeczywistość", Nałkowskiej „Węzły życia", Brezy „Mury Jerycha"), pokazująca splot stosunków politycznych w Polsce międzywojennej, które doprowadziły do klęski wrześniowej.

Nie wiadomo, czy koleje polskiej prozy po roku 1950 toczyłyby się tak, jak to istotnie miało miejsce, gdyby nie okres niewłaściwego administrowania kulturą. Powiadam tylko: „nie wiadomo", bo już przed r. 1950 w programowej publicystyce czasopisma społeczno-literackiego „Kuźnica" dały znać o sobie próby zbyt rygorystycznego i jednostronnego traktowania twórczości literackiej.

Może wszelako doczekalibyśmy się zjawisk łączących społeczne oraz historyczne zainteresowania realizmu z elementami nowoczesnej wiedzy o człowieku i z szeroko pojętym eksperymentatorstwem artystycznym? Zalążki tego w różny sposób ujawniły się już przed r. 1950 w prozie Borowskiego („Pożegnanie z Marią") i Dygata („Jezioro Bodeńskie", „Pożegnania"). Może dałoby się w tym literackim mariażu w sposób rzeczywisty zmieścić doniosłe zjawiska, które od zakończenia wojny rozwijały się w naszym kraju: kształtowanie się nowej struktury ustrojowej, walka z kontrrewolucją, uprzemysłowienie i urbanizacja, ilościowe i jakościowe zmiany społeczne?

Przyszło jednak do usztywnienia i spłycenia oświałych kanonów realizmu oraz odcięcia się od wszelkich eksperymentów artystycznych. W efekcie powstało sporo drugorzędnych, schematycznych płodów, które dziś czyta się z trudem. Książki te zbyt jednostronnie sięgały po doświadczenia literackie powstałe pod niebem innej epoki. Prawda tych książek o rzeczywistych konfliktach budowy socjalizmu w naszym kraju jest pozorna, a ich „obywatelskość" — naiwna. Niemniej warto tu wymienić — jako raczej rzadki pozytywny wyjątek — tematycznie zresztą sięgającą Polski międzywojennej, „Pamiątkę z Celulozy" Newerlego, która (poza wszystkim, co o niej słusznego powiedziano), jest także, jak mi się zdaje, ukrytą polemiką z postawą chrześcijańskiej pokory i uległości wobec losu (dokumentację owej polemiki stanowi biografia Szczęsnego Bidy.

→

Z doświadczeń Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego

NOWY MODEL

Krzysztof Kościesza

Zespół do spraw Kultury Komisji Ideologicznej KW PZPR w Lublinie zajął się oceną działalności towarzystw regionalnych na Lubelszczyźnie. Do problemu tego powrócimy. Obecnie w ramach wymiany doświadczeń międzywojewódzkich uważamy za wskazane opublikowanie artykułu red. Krzysztofa Kościeszy na temat pracy Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego. (Red).

JUŻ na długo przed IV sejmikiem Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego trwały dyskusje w środowiskach działaczy kulturalnych. Dyskusję redakcyjną opublikowano w „Nadodrzu". Chodziło nie tyle o ocenę dorobku, ile o wytyczenie nowych kierunków działania.

LTK jest federacją towarzystw. Inaczej, niż np. w Poznańskiem, towarzystwo nie ma swoich oddziałów; jego poszczególne ogniwa są samodzielne, korzystają z osobnych dotacji. W samym LTK działa natomiast 5 specjalistycznych sekcji. Lubuski Klub Filmowy nakręcił już 34 filmy na taśmie 35 mm. Część z nich była wyświetlana w telewizji i zakupiona przez „Filmos", a większość wyświetlana w kinach województwa. Sekcja plastyki amatorskiej organizuje wystawy indywidualne i zbiorowe, wspólne plenery. Sekcja regionalna działa głównie w środowiskach ludności rodzimej; organizuje izby pamiątek regionalnych, wystawy i prelekcje. Sekcja młodych zrzesza absolwentów wyższych uczelni, głównie byłych działaczy kół Lubuszan. Klub literacki opiekuje się początkującymi pisarzami. To wyliczenie mówi jeszcze niewiele. Bo trzeba by dodać, że z dawnej sekcji naukowo-badawczej wyłoniło się Lubuskie Towarzystwo Naukowe, że sekcja literacka była początkiem oddziału ZLP, że LTK współfinansowało przez pewien czas wydawanie „Nadodrza".

Działalność wydawnicza ale już książkowa, jest nadal poważną częścią działalności LTK. W ciągu 10 lat działalności LTK ukazało się 76 publikacji. Część z nich to wprawdzie broszury i katalogi plastyczne, ale są tak poważne wydawnictwa, jak „Rocznik Lubuski" (obecnie wydawany przez Towarzystwo Naukowe), tomy opowiadań, pamiętników pierwszych osadników, tomiki i arkusze poetyckie, prace popularnonaukowe, monografie, słowniki i przewodniki turystyczno-krajoznawcze. 13 książek ukazało się we współpracy z innymi wydawnictwami, głównie Wydawnictwem Poznańskim. Ostatnio zaczęto wydawać „Zeszyty Lubuskie", które, sądzę, powinny przekształcić się w kwartalnik.

Ten z konieczności pobieżny przegląd ukazuje chyba, że żartobliwa nazwa „lubuskie ministerstwo kultury" nie jest przesadą. Tylko to rozproszenie w wielotorowej działalności — bo przecie prowadzi się także pracę upowszechniającą, organizuje sesje popularnonaukowe itp. — może prowadzić do okresowych zaników działalności poszczególnych sekcji. Tak było np. z sekcją młodych, która po dwuletniej działalności praktycznie zaprzestała pracy, rozluźniły się kontakty z Lubuszanami w ośrodkach uniwersyteckich, zaprzestano spotkań, seminariów. Tak jest z Klubem Filmowym, pochłaniającym stosunkowo najwięcej środków (dotychczas ok. 2,3 mln), który coraz bardziej staje się placówką kręcącą filmy na zlecenie, filmy być może o wartościach użytkowych, ale pozbawione większych ambicji.

Stąd dążenie do stopniowego usamodzielniania się poszczególnych sekcji. Stąd konieczność współpracy z innymi, pokrewnymi, instytucjami i stowarzyszeniami. Stąd wreszcie dążność do wypracowania nowego modelu działalności kulturalnej.

Wydaje się, że jeśli dotychczas społeczny ruch kulturalny starał się zaspokoić potrzeby mieszkańców, był monopolistą — w tej chwili następuje stopniowe przeprofilowanie. Ruch kulturalny, nie rezygnując bynajmniej z bezpośredniego oddziaływania na środowisko, przyjmuje coraz bardziej, a w każdym razie powinien przyjmować, funkcję inspiratora działań kulturalnych. Od tego generalnego modelu mogą być jednak odchylenia. W niewielkiej miejscowości letniskowej, w Lubniewicach, Towarzystwo Przyjaciół Lubniewic nastawiło się głównie na turystyczną aktywizację. Ponieważ oddział tego towarzystwa działa w... Warszawie, łatwiej jest wykołatać fundusze na inwestycje. Ale i tak większość prac wykonano tu w czynie społecznym. Towarzystwo zajmuje się propagandą i popularyzacją Lubniewic, ale także pracą kulturalną i wychowawczą wśród młodzieży, opiekuje się miejscowym klubem „Ruchu". Pszczewskie Towarzystwo Kultury, działające w miejscowości o charakterze turystycznym, zamieszkałej w części przez ludność rodzimą, zajmuje się głównie popularyzacją polskiej przeszłości miasta. Otwartą w 1964 roku Izbę pamiątek regionalnych zwiedza corocznie kilka tysięcy osób. Lubskie Towarzystwo Kultury zajmuje się głównie popularyzowaniem literatury, muzyki, sztuki, teatru i własnego regionu; ma dwa oddziały w terenie. Utworzona staraniem Głogowskiego Towarzystwa Kultury izba pamiątek regionalnych przekształcona została w muzeum metalurgii. Takich przykładów można by podawać więcej. Pośród dwudziestu kilku towarzystw zrzeszonych w LTK są jednak i takie, których działalność nie wykracza poza najbliższe środowisko.

Specyfika lubuskiego ruchu społeczno-kulturalnego polega także i na tym, że był to ruch żywiołowy, oddolny. Z towarzystw sfederowanych w LTK kilka powstało wcześniej niż „centrala", ich profil kształtował się zależnie od potrzeb środowiska. Nie sądzę, by istniała potrzeba ujednolicenia, w tej różnorodności jest metoda: chodzi o to, by lokalne towarzystwa stały się czynnikami uaktywniającymi kulturalnie środowiska, w których działają. Aby ten cel mógł być spełniony działalność towarzystwa musi iść w parze z potrzebami terenu. Stąd konieczność wciągnięcia do działalności LTK nowych ludzi, głównie młodzieży i inteligencji technicznej. Byłoby to nie tylko równoznaczne z rozszerzeniem działalności na nowe środowiska, ale także umożliwiłoby — jak mówił na sejmiku prezes LTK dr Wiesław Sauter — „przyczynienie się do spopularyzowania osiągnięć współczesnej techniki, a przez to do lepszego zrozumienia współczesnego świata".

Społeczny ruch kulturalny znalazł się w momencie przełomowym. Działając w nowych warunkach, musi wypracować nowy program. Nowa formuła ruchu będzie musiała uwzględnić obok działań społecznych także pracę wyspecjalizowanych instytucji zawodowych i społecznych. Dotychczasowe doświadczenia dowodzą, że jeśli działacze nie uzyskają poparcia miejscowych władz, najsłuszniejsze nawet inicjatywy rychło upadają. Przykłady Międzyrzecza i Sulechowa są tu typowe. W Sulechowie powstał kiedyś pomysł urządzania Dni Chopinowskich (pretekstem był koncert, jaki dał Chopin będąc przejazdem w Międzyrzeczu). Była możliwość, gdyby w inicjatywę zaangażowała się Powiatowa Rada Narodowa i placówki k-o, by Sulechów stał się obok Dusznik i Żelazowej Woli trzecim miejscem stałych imprez chopinowskich. Nie wyszło. Niewielka grupa społecznych działaczy nie dała rady. Koncerty stawały się z wolna typową amatorszczyzną. Takich przykładów można by cytować więcej. Ale równocześnie w Bukowcu, w Kurowicach i w dziesiątkach innych wsi powstają wiejskie domy kultury. Duże, kosztowne obiekty, budowane są w czynie społecznym przy niewielkiej pomocy państwa. W Kurowicach dom kultury kosztował 580 tysięcy. Połowę dali w czynie społecznym mieszkańcy.

dalej?

zarwanego w pewnej chwili przez Madzię „synem cieśli, który nie dał się ukrzyżować").

Ale okres 1950—55 mimochodem przyniósł dla literatury naszej pewien pośredni zysk. Ujawnił mianowicie — w krzywym zwierciadle schematycznych tworów — wszelkie ograniczenia, uproszczenia i anachronizmy konwencji powieściowej tradycyjnego realizmu. Realizm ów (i jego bliskie kontynuacje) radzi sobie doskonale, gdy trzeba poddać artystycznej analizie takie zjawiska, jak wielkie procesy społeczne i polityczne, doniosłe wydarzenia historii (los indywidualny staje się wtedy losem zbiorowym). Odżywa przeto realizm — co znalazło potwierdzenie na gruncie polskim — gdy zjawiska te nabierają szczególnej intensywności. Pozostaje jednak bezradny, gdy procesy owe ulegną stabilizacji i gdy trzeba się uporać przede wszystkim ze skomplikowaną problematyką, szczególnie w naszych czasach złożonego i zróżnicowanego, losu j e d n o s t k i. Zresztą epoka okrutnych doświadczeń dwu wojen totalnych, epoka niesłychanego wzrostu urządzeń cywilizacyjnych, żyjąca w obliczu atomowej zagłady, epoka wreszcie zasadniczych odkryć psychologii indywidualnej i silnego zróżnicowania postaw światopoglądowych określa z zasady w inny sposób sytuację jednostki niż wiek XIX, stawia też inne zadania przed pisarzem oraz inne wymagania przed czytelnikiem.

Ustabilizowanie się wielkich procesów społecznych i ekonomicznych zbiegło się u nas z przełomem października 56. Powstała sytuacja, w której niewystarczalność konwencji realizmu stała się całkiem rzeczywista i można było o tym wyraźnie sobie powiedzieć. Zmiana polityki kulturalnej przyniosła także falę tłumaczeń z zachodnich literatur (Sartre, Camus, Malraux Kafka, Mann, Hemingway, Faulkner...).

Wszystko to sprawiło, że następne dziesięciolecie polskiej prozy jest czasem gorączkowych eksperymentów artystycznych, rozwija się pod znakiem polemiki z „obywatelskimi" tendencjami literatury poprzedniego okresu, w centrum zainteresowania pisarzy stawia problemy jednostki już nie w płaszczyźnie jej miejsca w społeczeństwie, lecz w obrębie dwuosobowych mikrokosmosów czy w perspektywie egzystencjalnych ludzkich poszukiwań i przeznaczeń.

Nie obeszło się tu bez charakterystycznych przejaskrawień, demonstracji dla samych demonstracji. W każdym razie proza nasza starała się nadrobić zaległości, jakie w stosunku do prozy europejskiej narosły w latach 1950—55, i po części jej się to udało. Tym sprawom trzeba będzie poświęcić odrębne i obszerniejsze miejsce, wracając do nich w następnej pogadance tego cyklu.

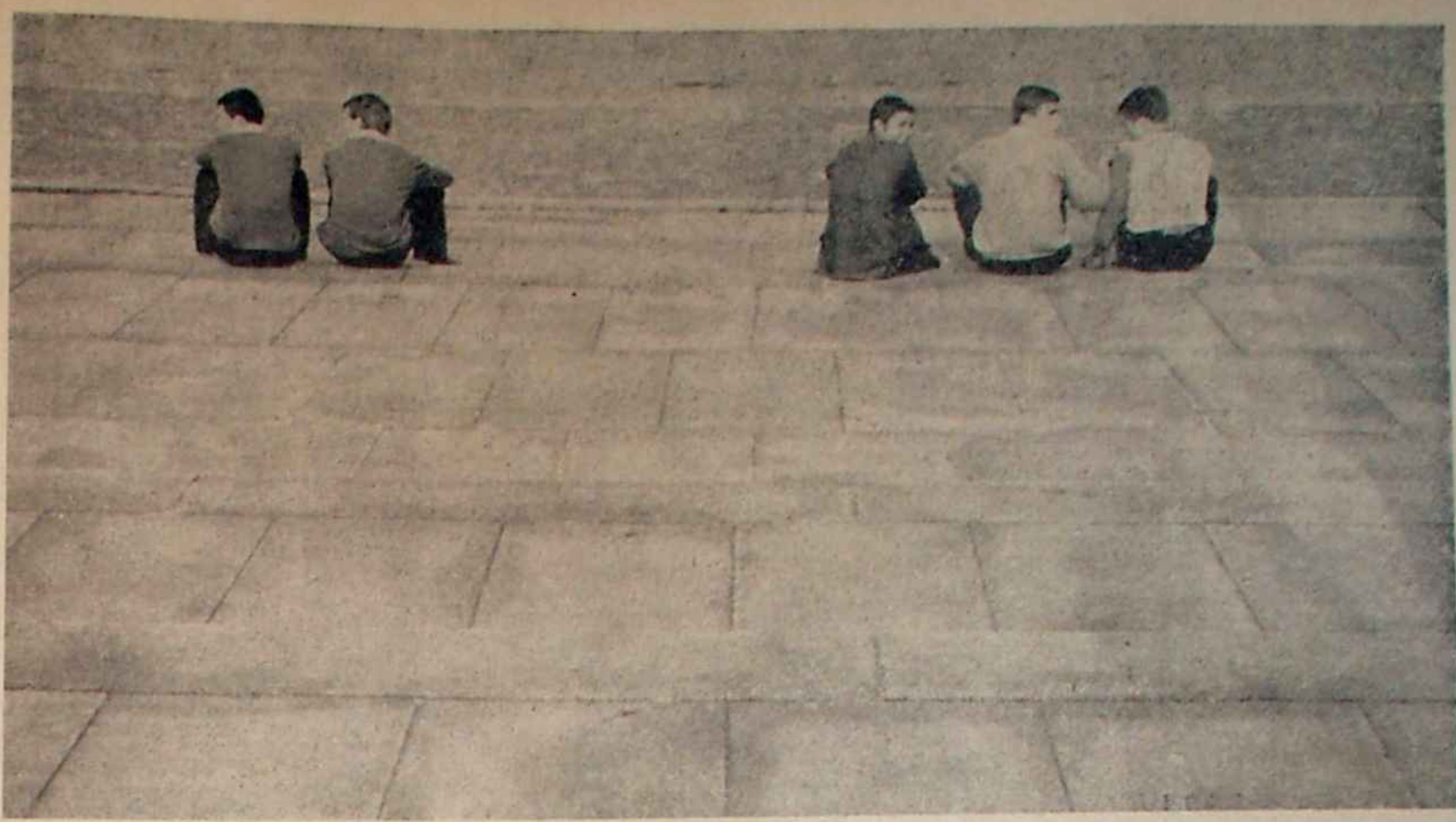

Fot. Janusz Urban

Familijno-towarzyska encyklopedia Fredrów

Feliks Fornalczyk

W „ŻYCIU Literackim" (1967, nr 52) Stanisław Pigoń, ogłaszając szczęśliwy finał swojej kilkunastoletniej zażyłości z pismami Aleksandra Fredry, sformułował szereg pytań o charakterze nieodświętnym, tyczących niebagatelnych znaków zapytania co do osobowości i dyspozycji twórczych autora „Zemsty". O pewne w tym względzie niejasności postarał się sam Fredro, co ujmuje w następujących słowach jego edytor i jeden z najlepszych znawców: *Przeorałem pole twórczości tego pisarza wszerz i wzdłuż, w poprzek i w skos, a nie mogę się pochlubić, żem go poznał na wylot i w całej rozciągłości. Bywał powściągliwy, umiał się kryć poza słowami. Jest w tym zawziętym odyńcu zawsze jakaś resztka, która wyzywa i drażni, każe raz po raz do niego nawracać i siłować się nadal z tymi niedopowiedzeniami, co je pozostawiał przez nieufność, zawziętość, czy przez przyrodzoną nieochotę. W tym twórcy Gucia i Cześnika, tak wylewnych causeurów, tkwił przecież zarazem jakiś tęgi kawałek Milczka.*

Owe zaś kwestie, które nie doczekały się dotąd rozświetlenia, przedstawiają się następująco w ujęciu Stanisława Pigonia: *niejasna sprawa mizantropii, jaką tak nieodstępnie podszyty jest humor* Fredry i z nią związana kwestia jakiegoś *głębokiego rozgoryczenia, żalu do ludzi,* który *truł mu życie; jak w takiej postawie, przy takim usposobieniu zbolałego melancholika i mizantropa zdobywać się na humor, na komizm, choćby i sarkastyczny ale celny, jak pisać komedie?;* kolejna sprawa to kwestia *znamion i wymiarów realizmu w tworzywie komedii Fredry,* jeśli zważyć, że *partnerami w kabałach komediowych Fredry są w ogromnej większości osobistości pochwycone w dostrzeżeniu, spotkane gdzieś i zapamiętane;* sprawą wymagającą wyjaśnienia jest więc w ogóle sfera tego, jak Fredro dochodził do indywidualizowania swoich postaci komediowych, *jak sprawność tej praktyki w sobie rozwijał, skąd i jak ona się w nim rodziła.* Wszak sam Fredro zwierzył się kiedyś w nie publikowanym dotąd brulionie: *Dla mnie każdy* (poznany człowiek) *stawał się zamkniętą szafą, wobec której pierwszą moją myślą było: przejrzeć wewnątrz.*

Stanisław Pigoń, stawiając te kwestie, nie poprzestaje na samym sformułowaniu pytań; daje też od razu swoją próbę odpowiedzi, tyle że nie uważa tych odpowiedzi za wystarczające. Wszystkie zaś sprowadzają się do zagadek *wewnętrznego ja* Aleksandra Fredry oraz do funkcjonowania jego *aparatu* obserwacyjnego. Pozostajemy zatem w obrębie psychologii twórcy i mechaniki twórczości, o których tak jak nic nie wiemy; szanujący się dzisiejsi teoretycy literatury traktują te dziedziny niczym jakąś szarlatanerię, ograniczając się do badania struktury samego dzieła; a dzieje się tak dlatego, że nauka niewiele pewnego powiedziała dotąd na temat psychologii i mechaniki twórczości. W wypadku pytań sformułowanych przez Pigonia trzeba by odwołać się właśnie do owych szczególnych dyspozycji twórczych Fredry, to znaczy przede wszystkim określić typ jego intuicji, zaiste niezwykłej, ale właściwej przecież nie tylko jemu jednemu.

Tak się złożyło, że niedawno pojawiły się w księgarniach „Wspomnienia z lat ubiegłych" córki Aleksandra Fredry, Zofii z Fredrów Szeptyckiej, wydane po raz pierwszy z unikatowego odpisu przez Bogdana Zakrzewskiego; rzecz tę nabyłem i nie odkładając przeczytałem, wypatrując w żywej tradycji rodzinnej komediopisarza bliższych danych na pytania postawione przez Stanisława Pigonia. Nie ma ich tam w nadmiarze: znalazłem wszelako w owych wspomnieniach Szeptyckiej taką np. poszlakę tyczącą uprzednio referowanej sprawy intuicyjnego *aparatu obserwacyjnego* pisarza, w tym wypadku oddziedziczonego przez córkę po ojcu. Przeczytajmy: *Jak instynktem tylko nie pojmowałam piękna bez światła prawdy w sobie, tak instynktem też jedynie wiedziona jak od cuchnącej zgnilizny odwracała się dusza moja od wszystkiego, w czym przeczuwała fałsz, przesadę, k o m e d i a n c t w o; by dobrze oddać to, co dziś jasnym mi jest w tych dziecinnych uczuciach, znów muszę do porównania się uciec. Sama sobie wydaję się jak dziecko o doskonale muzykalnym uchu, bez żadnego muzycznego wykształcenia, nuta fałszywa była dla mnie bólem. Dlaczego? — nie byłabym umiała powiedzieć...* Kwestia została więc potwierdzona, tyle że z punktu uchylona odpowiedź.

Szukając wszakże odpowiedzi tyczących osobowości pierwszego spośród komediopisarzy polskich, trudno pominąć wpływ jego burzliwych czasów. Jak wskazują wspomnienia córki, Aleksander Fredro miał np. sporo różnego rodzaju przykrych perypetii raz z racji zbyt radykalnych manifestacji utrzymywanego w swym domu guwernera, to znowu z racji syna Jana Aleksandra, który w roku 1848 wyruszył wspierać węgierskie powstanie, czy z powodu choćby własnych niezbyt obliczonych słów na temat cesarza, wypowiedzianych wobec większego zgromadzenia w tymże 1848 roku... Szczególne wrażenie wywołały przecież w domu pisarza nie tylko galicyjskie zdarzenia 1848, ale i 1846 roku. Zofia z Fredrów Szeptycka notuje w swoich „Wspomnieniach": *Domu naszego żałoba nie tknęła, a jednak zostało mi raz na zawsze wrażenie, że okropności, o których ciągle mówiono, widziałam naocznie. Często przychodziły osoby mi zupełnie obce, w grubej żałobie, czasem same, czasem z dziećmi. Nie pytałam już nigdy „Kto to jest?", wiedziałam, że stamtąd... spod nożów uciekły. Opowiadały rzeczy straszne...*

I dalej: *Codziennie ktoś nowy przybywał coraz to okropniejsze wieści przywożąc, wreszcie zaczęto mówić, że chłopskie bandy idą na Lwów — i po domach zbierały się całe rodziny na noc w obawie napadu i rzezi. Taką jedną noc zapamiętałam u nas (...) Mężczyźni wszyscy z bronią czuwali w pokoju Ojca, nikt się nie rozbierał, mnie nawet położono w sukni na łóżeczko, ale popokładano sienniki na ziemi dla kobiet. Wszystkie lampy się świeciły i prócz mnie nikt podobno oka nie zmrużył aż do ciemnego szarego świtu. Chłopi do Lwowa nie doszli, ale w kilka dni, a może tygodni potem przywieziono pierwszy transport sierot spod Tarnowa, które po domach brali; podobno nie było wówczas jednej rodziny we Lwowie, która by swej sieroty nie miała. Nam przypadła w udziale Paulina Psarska, 8-letnia (...córka) leśniczego zamordowanego w dobrach Stojowskich.*

Sprawy chłopskich ruchów 1846 roku wywrzeć więc musiały także istotny wpływ i na samego Aleksandra Fredrę, skoro we wspomnieniach jego córki znajdujemy tego typu uwagę: *Po rzezi mój Ojciec podał bardzo silny memoriał do rządu o opłakanych stosunkach w kraju na ręce Stadiona; nic nim nie wskórał (...) Na lato Ojciec nie chciał wyjechać do Beńkowej Wiszni, po rzeziach obrzydziwszy sobie chłopstwo, które jednak na Rusi żadnego gwałtu nie popełniło; mawiał, że nigdy już pomiędzy nimi mieszkać nie będzie. I wtedy to powstała myśl kupienia domu z ogrodem, o który Mama prawie ze łzami dopominała się, mówiąc, że bez ogrodu, bez kwiatów i drzew nie wytrzyma...*

Co jednakże sugerują przede wszystkim owe wspomnienia córki komediopisarza? Oto ogromną rolę rodzinnej tradycji ustnej w rodzinie Fredrów; anegdoty o członkach rozgałęzionego rodu, sąsiadach i znajomych stanowiły w domu pisarza chleb codzienny; wiedziano o każdym krewniaku i sąsiedzie wszystko i mówiono o nich z charakterystycznym zdeformowaniem komiczno-anegdotycznym. Należało to, jak można wnosić z zapisu Szeptyckiej, do sposobu bycia Fredrów, sposobu właściwie już mitologizacyjnego, traktowanego, być może, jako odtrutka na nie zawsze najprzykładniejsze fakty współżycia rodzinnego, których w domach Fredrów, Jabłonowskich i Skrzyńskich nie brakowało. We wspomnieniach Szeptyckiej zawarte jest pewne zwierzenie, w innym już co prawda kontekście, które przez analogię można odnieść wprost do urazu noszonego przez autora „Zemsty"; owo zwierzenie córki zostało ujęte w następujący sposób: *Może też od tego czasu, może, bo kto kiedy wie, kiedy i jak zrodziły się w nim prądy, które później w życiu najważniejszą grały rolę... może wtedy przez własną przykrostkę zrodziła się we mnie trwoga przed przykrością, którą zadaje krytyka w upodobaniach niewinnych.* Chodziło zaś o uraz, jakiego nabawił autorkę twórca „Zemsty" niesprawiedliwą krytyką prezentu.

Bardzo znamienne było także uczulenie Zofii z Fredrów Szeptyckiej na to, co plotkowano na jej temat w kręgu znajomych panien i młodych mężatek we Lwowie. Odczuła to zwłaszcza po powrocie z Paryża; oto odpowiednie tego świadectwo we wspomnieniach: *Gdy opadły mnie osy* (przycinków), *jeśli nie wszystkie kąsające, to przynajmniej wszystkie rozzłoszczone, przy naturze tak łatwej* (po dziś dzień) *do onieśmielenia, najłatwiej było uwierzyć, że wszystko prawda, że we mnie wina ukąszeń. Uwierzyłam — i dotąd blizna ta nie boli, n i e, ale j e s z t w duszy.* I na innym miejscu: *Po wszystkich tych małych brakach jak motyle po kwiatach latały przycinki, dowcipy, perliste śmiechy mojej towarzyszki. Jeśli piszę o tym, to dlatego, że było to przyczyną pewnego rozdźwięku we mnie, który został na zawsze jak zacięcie w korze drzewka.* Zwróćmy uwagę, że córka Aleksandra Fredry w sposób niemal identyczny jak on przeżywała swoje urazy do ludzi.

Zofia z Fredrów Szeptycka akcentuje przy każdej okazji niesłychanie surowy, bezbarwny tryb życia w latach swego dzieciństwa. Wspomina więc raz: *Przyszłam na ten świat o zbliżającym się już zmierzchu w życiu mych Rodziców. Zanim podrosłam, wieczór był nastał, stąd bezbarwność w wspomnieniach moich rodzinnych;* innym razem stwierdza: *jasności wokoło*

(Dokończenie na str. 11)

Ale właśnie w momencie oddania do użytku najlepiej nawet wyposażonej placówki zaczyna się problem kluczowy dla aktualnego modelu kultury. Ci ludzie, którzy ofiarnie pracowali przy budowie, nie bardzo wiedzą, co z tym fantem zrobić. „Wchodzi" więc „Ruch", lokuje tu klub, zatrudnia sprzedawcę. Jest pewność, że będzie miał kto otwierać i zamykać placówkę, palić w piecu, parzyć kawę. Ale na tym się kończy. To wszystko półśrodki. Bo wiadomo, że potrzebny byłby tu cały sztab pracowników, no choćby ze dwie osoby. Tymczasem jest tylko sprzedawca, mający niewielkie pojęcie o pracy kulturalnej. Wybudowana z wysiłkiem placówka jest nie wykorzystywana. A przynajmniej nie w tym stopniu, w jakim mogłaby być.

Tu otwiera się pole do działania dla społecznego ruchu kulturalnego. Ale z towarzystw, sfederowanych w LTK, tylko kilka działa na wsi. Są to zresztą ogniwa najsłabsze, wymagające stałej pomocy, pracujące najmniej systematycznie. I dlatego wydaje się, że obok działalności „centrali", kręcenia filmów, wydawania książek — opieka nad towarzystwami działającymi na wsi, w miasteczkach i miastach powiatowych nadal będzie najpoważniejszym zadaniem. Ale równocześnie musi nastąpić powiązanie, ściślejsze niż dotąd, społecznego ruchu kulturalnego i placówek zawodowych. Musi nastąpić podział zadań. Wydaje się, że w tym układzie ruch społeczny pełniłby rolę inspirującą i pomysłodawczą, natomiast placówki zawodowe zajęłyby się pracą upowszechnieniową, organizującą życie kulturalne. Nie znaczy to jednak, że ruch kulturalny musi zrezygnować z bezpośredniego działania; może uzupełniać, nie może jednak zastępować działalności placówek zawodowych.

Nie wydaje się bowiem słuszne czynienie ze społecznego ruchu kulturalnego panaceum na wszystkie braki pracy kulturalnej. Tam, gdzie sądzono, że pozostawiony samemu sobie ruchu kulturalny będzie mógł zastąpić pracę dziesiątek wyspecjalizowanych placówek, rzeczywistość rychło obaliła pobożne życzenia. Bo przecież, i to też jeden z powodów słabości społecznego ruchu kulturalnego, nie ma on żadnych możliwości egzekucji, realizacja postanowień zależy od dobrej woli kontrahentów. W dodatku ruch jest niedointów. westowany. Boryka się bez przerwy z trudnościami finansowymi. To nie tylko specyfika lubuska. Tak jest niemal we wszystkich ośrodkach. Czasem się powiedzie. Czasem uda się uzyskać dotacje z zakładów pracy (tak było np. w Nowym Drezdenku), ale gdy działacze ruchu chcą założyć placówkę kompleksową, np. typu GOK, zakłady pracy powołują się na przepisy resortowe zabraniające świadczenia na kulturę poza zakładem pracy. Stąd konieczność, obok współdziałania z placówkami zawodowymi, większej pomocy ze strony rad narodowych. Tylko one mają możliwość egzekwowania postanowień. Tylko one mogą ująć działalność kulturalną w formy bardziej zorganizowane.

Nowy model pracy Lubuskiego Towarzystwa Kultury zakłada więc, nie ograniczając dotychczasowych form działalności, ścisłe związanie się z placówkami podległymi wydziałom kultury, a także placówkami CRZZ. O ile w poprzednim okresie rola społecznego ruchu kulturalnego polegała z jednej strony na pobudzaniu inicjatywy kulturalnej, tworzeniu nowej społeczności regionalnej (integracja), o tyle nowy model zakłada utrzymanie ciągłości działań kulturalnych, ich koordynację i intensyfikację. Obok pracy w środowiskach, w których działalność kulturalna zyskała już sobie należną rangę, duży wysiłek skierowany będzie na kulturalną aktywizację środowisk przygranicznych.

Ludzie ze Skopje

Kazimierz Braun

PISANIE o ludziach *) i ich sprawach osobistych wymaga zawsze delikatności i założonej z góry pokory: że nie uchwyci się nigdy pełnego portretu, że nie zrozumie do końca motywów postępowania, nie obejmie, nie zamknie w słowie tego, co w człowieku nieuchwytne, wewnętrzne, złożone.

Tym bardziej — gdy pisze się o ludziach obcych, spotkanych raz, zatrzymanych w ich rytmie na chwilę, na kilkuzdaniową rozmowę, na czas odmierzony paroma łykami kawy.

Ale chciałbym spróbować pokazać tych ludzi. Ciekawych ludzi w tym ciekawym mieście. Przecież właśnie oni — ludzie — byli dla mnie najciekawsi.

* * *

Skopje. Siedzimy w teatralnym bufecie. Wszyscy mówią po macedońsku. Ale oddzielam głosy od twarzy, patrzę tylko na twarze, uświadamiam sobie, jak różni są ci ludzie. Oto wielki aktor Krum Stojanov, z pochodzenia Macedończyk — ale przez wiele lat grał najpierw po bułgarsku, potem był w Belgradzie, grał po serbsku, teraz w Skopje, gra w swoim ojczystym języku. Ta mała blondynka obok niego ma na imię Slavica, urodziła się w Macedonii, ale studiuje w szkole teatralnej w Sofii, otrzyma dyplom aktorki bułgarskiej, potem dopiero chce tu wrócić i zostać aktorką macedońską... Tuż obok niej siedzi wysoka brunetka, nie pamiętam jej imienia, ona — odwrotnie — jest Bułgarką z Sofii, ale w Skopje studiuje na uniwersytecie ekonomię. Patrzę dalej po twarzach. Aktorzy Aco Jovanovski, wysoki blondyn, rodowity Macedończyk i Darko Damerski, barczysty, czarnowłosy, o ciemnej cerze, także rodowity Macedończyk! A tamta ruda dziewczyna o alabastrowej twarzy jest Turczynką, ma na imię Sabina, urodziła się w Istambule, jest jednak macedońską aktorką. Kierownik techniczny „Dramskiego Teatru", siedzący obok, to Niemiec, Günther Kube, ożenił się parę lat temu z Macedonką i został w Skopje. A mój asystent i tłumacz, Miodrag Szaurek, Macedończyk, ożenił się w czasie pobytu w Polsce z Polką. Kierownik literacki teatru, Bogomol Dželusel, Macedończyk, ożenił się z Angielką, mieszkają w Skopje.

Przed przedstawieniem w „Teatrze Narodowości Szyptarskiej i Tureckiej" poznaję dyrektora teatru — Turka, dramatopisarza — Albańczyka i reżysera — Macedończyka. Aktorzy mają imiona Idriz, Mustapha, Enver, Messeret, Lufti, Ramadan, Mahdi... Albańczyków i Turków jest dziś w Skopje 48 tysięcy, w całej Macedonii 270 tysięcy. Przedstawienia w „Teatrze Narodowości" odbywają się raz w tygodniu po albańsku, raz po turecku, teatr ma dwa zespoły grające w tych dwóch językach.

Na kolacji, po przedstawieniu, w Klubie Pisarzy, zimnej spelunce z masą pijanych i paroma stolikami pokera, przysiada się do stolika Czech, architekt, który tu się ożenił i został, reżyser filmowy z Belgradu, Serb, jacyś aktorzy. I do tego ja, Polak.

I takie spotkania są bardzo częste. Są typowe w Skopje.

* * *

Idzie ich dwóch mostem. Stary i młody. Jeden za drugim. Idą na lekko ugiętych kolanach, kołyszącym się krokiem górali. Na nogach mają kierpce (tylko jak to się nazywa tutaj?), na głowach filcowe piuski i turbany (jak to się nazywa?). Są ogorzali. Widać, że idą z daleka. Młodszy niesie na plecach skórzany worek, pewnie z jedzeniem. Pierwszy idzie skupiony, surowy, patrzy tylko prosto przed siebie. Młody ogląda się na boki rozbieganymi oczami: na samochody, na przelatujące obok cienie ludzi, na migające neony. Zeszli już z mostu i przechodzą jezdnię. Starszy nawet się nie rozejrzał, a młodszy spojrzał właśnie w inną stronę. Pisk opon na bruku. Starszy nie drgnął, idzie dalej, młodszy uskoczył w bok, już dołącza, idą dalej. To Turcy, gdzieś z gór. Droga wypadła im przez miasto. Przetną je na wskroś i cała nowoczesność centrum Skopje zostanie za nimi. Osunie się ze starego jak tuman mgły, który pozostaje w dole, gdy idzie się na szczyt. W mózgu młodego zostanie tylko kołaczącym echem dźwięków, lśnień, błysków. Potem znów wejdą w góry. Dojdą do górskiej wioski, gdzie mieszkają tacy sami ludzie jak oni. Nie będzie już tych nożyc kontrastu odcinających ich sylwetki od tła nowoczesnego miasta.

* * *

1 stycznia. Po zakończeniu próby ktoś z aktorów mówi: dziś jest „Bożicz". Co to? Prawosławne Boże Narodzenie. Próba odbywa się w niedzielę. W ogóle tutaj w teatrze niedziela jest dniem normalnej pracy i rano i wieczorem. Wolny jest tylko poniedziałek.

* * *

Do domów tureckich nie wchodzi się w butach. I ten obyczaj pozostał w większości domów w Skopje. Goście zostawiają buty na progu, w przedpokoju. Do pokojów wchodzą w skarpetkach. Oczywiście nie obowiązuje to gościa z zagranicy, z Europy. Dla większości ludzi tutaj Polska leży wobec Jugosławii nie na północy, ale na zachodzie. Zwłaszcza w dziedzinie sztuki.

* * *

Wiele kobiet w obfitych, kolorowych, wzorzystych szarawarach. Mini spódniczek mniej niż w Polsce...

* * *

Zima 1968. Prawie przez dwa tygodnie mróz i śnieg. Podobno nie było tu takiej zimy od 1941 roku. Mężczyźni, jak normalnie, chodzą w większości z gołymi głowami. Od wielkiego wiatru i mrozu okrywają brody i uszy szalikami. Ale to nie trwa długo. Znowu w południe jest ciepło. Słońce topi śnieg i lód. Na początku lutego już zaczyna się przedwiośnie. W ogródkach pojawiają się pierwsze zielone roślinki. Jest ciepło. Ludzie chodzą ubrani lekko. Wiosna nazywa się po macedońsku „prolet". Jest krótka. Zaraz potem przychodzi lato.

* * *

7 stycznia. Nowy Rok Prawosławny. Przypuszczam zresztą, że jakakolwiek treść religijna tego święta nie obchodzi ludzi zgromadzonych w tej sali. Podobnie bawili się na Nowy Rok Katolicki, na Sylwestra. Jesteśmy w pięknej sali recepcyjnej wielkiego klubu — coś jakby domu kultury w hucie żelaza pod Skopje. Dyrektor huty zaprosił na kolację i noworoczną zabawę pisarzy, malarzy, dziennikarzy. Bawili się świetnie na Sylwestra, więc dyrektor zaprosił ich jeszcze raz, na drugi nowy rok — prawosławny.

W klubie wiszą liczne obrazy. Huta zakupiła je u skopskich plastyków. Przedstawiają pracę — i realistycznie i abstrakcyjnie. Są dobre. Siedzimy na nowoczesnych meblach — kolejno podawane są różne rodzaje mięs. Czerwone wino macedońskie. Jest kilkadziesiąt osób. Muzyka z magnetofonu. Tańczą. Potem gaszą magnetofon i śpiewają. Śpiewają jedną po drugiej piękne ludowe pieśni macedońskie. „Moglibyśmy tak śpiewać trzy dni nie powtarzając piosenek" — mówi mój sąsiad. Śpiewają pięknie, z delikatną modulacją, czysto, bez pijackiego fałszu i hałasu. Są weseli. Potem wszyscy biorą się za ręce i śpiewając, tańczą razem. Jakiś korowód, wąż. Trzymają się za ręce — dyrektor huty i dyrektor telewizji, dziennikarka, malarze... Znów siadają i śpiewają. Gadają, śmieją się. Opowiadają. Pytam — okazuje się, że ambicją każdego przynajmniej większego zakładu pracy jest utrzymywać bliskie kontakty z ludźmi kultury. Kupuje się obrazy. Organizuje na terenie fabryk koncerty. Zaprasza się dziennikarzy, literatów, aktorów. Takie wieczory, jak ten, są stałym obyczajem.

* * *

Afisze: „Polski wieczór", „Polski wieczór". W wielkim Domu Robotniczym, w sali kinowej, w dzień rocznicy oswobodzenia Warszawy. Jest dość pełno. Młodzież szkolna, pisarze, jacyś polscy specjaliści pracujący w Skopje, parę osób polskiego pochodzenia mieszkających od dawna w Macedonii. Z głośnika „Góralu, czy ci nie żal..." Przemawia I sekretarz ambasady PRL z Belgradu, Władysław Wołodkowicz, człowiek, który ogromnie przyczynił się do rozwoju wymiany kulturalnej Polski i Jugosławii, do wzrostu znajomości Polski, polskiej literatury, teatru, sztuki na tym terenie. Wszyscy słuchają go w skupieniu. Wyczuwa się serdeczność i życzliwość. Potem są recytacje polskiej poezji w macedońskim przekładzie dokonanym przez wielkiego przyjaciela Polski, Aleksandra Aleksieva. Następnie filmy krótkometrażowe o Polsce. Pierwszy raz widzę amerykańską krótkometrażówkę o zniszczeniu Warszawy. Ludzie płaczą. Polska jest dla ludzi tutaj dużą sprawą. Znajomość polskiego, choćby tylko paru słów, jest powodem do dumy. Czuję się tu dobrze. Tak można się czuć tylko między przyjaciółmi.

Tego dnia rano w czasie próby spotkała mnie niespodzianka. Nazajutrz pisał o tym „Wieczer": „Wczorajsza próba dramatu „Niemcy" w Dramskim Teatrze została nieoczekiwanie przerwana. Członkowie zespołu teatralnego poprosili reżysera Kazimierza Brauna, gościa z Polski, aby przerwał próbę i pozwolił im złożyć sobie życzenia z okazji rocznicy oswobodzenia Warszawy. Wzruszony tym gestem reżyser Braun podziękował dyrektorowi i aktorom za życzenia i wyraził zadowolenie z pracy w ich teatrze..." Potem opowiadałem im długo o Warszawie, o jej zniszczeniu, o zburzeniu teatrów, o powstaniu polskich ludzi teatru wobec okupanta.

* * *

Dramski Teatr zamieścił w prasie ogłoszenie, że zatrudni kierowcę, wymagana I kategoria, gaża 800 nowych dinarów (a więc nie zbyt dużo — średnio płatny aktor ma 1200), podanie o przyjęcie można kierować — itd. Złożono 71 podań. Słownie: siedemdziesiąt jeden. W oznaczonym dniu, o oznaczonej godzinie, korytarz teatru napełnił się tłumem mężczyzn. Młodzi, w średnim wieku; na pewno wszyscy dobrzy fachowcy. Komisja, złożona z jednego pracownika administracji, kierownika technicznego i dwóch aktorów — członków Rady Teatru, rozpatrzyła wszystkie podania, przyjęła wszystkich kandydatów na rozmowę. Czterem kierowcom polecono zgłosić się jeszcze raz, nazajutrz. Rozmawiano z nimi jeszcze raz. Zaangażowano jednego, był szczęśliwy. Na pewno swoje obowiązki będzie spełniał wzorowo, bez poganiania. Bo jeśli nie — po prostu jest 70 innych kandydatów na jego miejsce. Ludzie tutaj szanują swoje miejsce pracy. Ci, którzy pracują, starają się pracować dobrze. O pracę jest trudno. Nie znam, zapewne nie publikuje się liczby bezrobotnych. Ale nie wszyscy pracują. Wielu Jugosłowian wyjeżdża do pracy do NRF, Francji, Danii...

Rozmawiam z młodym dziennikarzem. Mówi: „Za dużo ludzi u nas ma wille, samochody i jachty na Adriatyku i za dużo szuka pracy. Jeszcze nie jest tak, jakbyśmy pragnęli". Dziennikarz mieszka w ładnym, trzypokojowym mieszkaniu, o metrażu 65 m kwadr., tylko z żoną i matką.

Inny rozmówca, też dziennikarz, przywozi mnie na kolację swoją Zastawą do swojej willi. On z kolei mówi: „Od pewnego czasu wreszcie zaczęło się u nas cenić ludzką pracę. Jeśli pracuję dobrze — dobrze zarabiam. Pieniądz jest wartością realną; dinar jest realnie przeliczany na dolary. O popycie i podaży decyduje rynek. Jeśli fabryka produkuje złe buty — nikt ich nie kupuje, fabrykę się zamyka. Nie ma już u nas fabryk, które ktoś, gdzieś, z jakiegoś powodu zaplanował i państwo z

(Dokończenie na str. 11)

„Niemcy" Kruczkowskiego na scenie „Dramskiego Teatru" w Skopje. Scenografia J. Torończyka.

*) Pierwszy materiał K. Brauna o Skopje zamieściliśmy w 6 n-rze „Kameny" (Red.).

Bohaterowie są potrzebni

Maria Bechczyc-Rudnicka

NA licznych dziś konferencjach teatralnych, spotkaniach, sympozjach, wyjazdowych sesjach krytyków coraz częściej pobrzmiewa w dyskusji truizm, iż dzieło sceniczne jest w końcu efektem współdziałania dramatopisarza, realizatorów jego utworu na scenie oraz — mocą „sprzężenia zwrotnego" — publiczności, każdorazowo innej.

Pożytek przypominania tej niezbitej prawdy ukazał mi się niedawno od całkiem niespodziewanej strony, kiedy znalazłam się na widowni rzeszowskiego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, by korzystając z zaproszenia jego dyrektora, p. Stanisława Bielińskiego, obejrzeć n-te przedstawienie „Mazepy".

Dobrze się właśnie stało, że był to zwykły, „bieżący" spektakl, nie ma bowiem publiczności mniej filoteatralnej, jak publiczność premierowa, wiadomo przecie. Tym razem salę wypełniła prawie wyłącznie młodzież szkolna. Otóż gdy tak siedziałem (nie bez poczucia swej Minderwertigkeit) w niemal totalnie młodzieńczym otoczeniu, zrobiłam nagle w czasie pierwszego aktu „Mazepy" odkrycie: Słowacki napisał tę tragedię dla polskiej młodzieży lat sześćdziesiątych XX (słownie: dwudziestego) wieku. Młody poeta — dla młodzieży niespokojnej, nieposkromionej, żądnej przygody i mocnych doznań, bystrej w rzeczach realnego życia a zarazem marzącej romantycznie o bohaterstwie pozytywnym poprzez odwagę.

Słowacki miał 25 lat, kiedy powstała pierwsza wersja „Mazepy" i jakkolwiek by odbiegała od niej redakcja późniejsza o lat pięć, zachowuje ta tragedia młodzieńczą świeżość, która sprzyja żywemu oddźwiękowi na widowni młodzieżowej. Trzeba było widzieć, z jakim przejęciem przyjmowała młodzież rzeszowska spektakl wyreżyserowany klasycznie przez Mariana Wyrzykowskiego.

Ale to jeszcze nie wszystko, co mam do powiedzenia na rzecz aktualności „Mazepy" i na korzyść młodzieży szkolnej jako widza teatralnego. Zanim jednak dojdę do pewnego stwierdzenia, trochę godzącego w „uczonych w piśmie", muszę cofnąć się na chwilę do gęstwiny faktografii historyczno-literackiej.

Przez długie dziesięciolecia, ściślej mówiąc — odkąd zaczęto wystawiać „Mazepę" na scenach polskich, badacze tego dzieła, któremu sądzona była wielka wziętość, nie ustawali w zarzutach pod adresem jego budowy. A wszystkie jego usterki miały jakoby wynikać z zasadniczej wątpliwości: kto jest bohaterem literackim tragedii — Mazepa, Zbigniew czy Wojewoda. Spróbujmy tedy rozproszyć ową wątpliwość, mając wciąż na względzie sprawy aktualne.

Wiemy, że impulsów do stworzenia „Mazepy" szukać należy w wydarzeniach i okolicznościach życiowych poety poprzedzających powstanie pierwotnego zamysłu, wiemy, że już przed tym momentem zaznał Słowacki niemało goryczy. W roku 1834, w ciszy Genewy — Paquis, dokonuje on głębokiej autoanalizy, zapowiada też w przedmowie do III tomu „Poezyj" poszukiwanie różnymi drogami „treściwej myśli żywotnej naszego kraju", zastanawiając się nad przyczynami niedołęstwa duchowego, które uważał za rys zasadniczy XIX wieku. Słabość, niezdolność do czynu charakteryzowała przecie bohaterów francuskich utworów romantycznych, brak zdecydowanej, solidarnej postawy cechował emigrację polską w Paryżu. Poza tym przebieg powstania listopadowego dowiódł, że większość szlachty wolała szukać sprzymierzeńca w okupacyjnym wojsku i obcych władzach, aniżeli dopuścić do reform społecznych, do wyzwolenia tych sił rewolucyjnych, których źródłem mogło być chłopstwo. Czując, że trzeba odrodzić naród „od samego rdzenia", poeta sięgnie w „Balladynie" do zarania dziejów Polski. I otóż obrazy wyłaniające się z otchłani czasu nie świadczyły bynajmniej o tężyźnie moralnej przypisywanej pochopnie pradziadom z racji ich prostoty. Wręcz przeciwnie odsłaniały się korzenie zła tkwiące już we wczesnohistorycznych kształtach społecznych. Charakterystycznym jest faktem, że w okresie, kiedy Słowacki zaczął intensywnie myśleć o odrodzeniu narodu, podejmuje on niemal równolegle do „Balladyny" temat związany z czasami Jana Kazimierza, z epoką, w której zarysował się wyraźnie upadek Polski, uwydatniło się już zgubne działanie elementów rozkładowych tkwiących w samej jej strukturze feudalnej.

Rozprawiwszy się w poczynaniach Wojewody z warcholstwem i tyranią możnych, ze znienawidzonym „czerepem rubasznym", Słowacki dyskwalifikował jednocześnie Króla, nie skąpiąc tej postaci cech odrażających: obłudy, tchórzostwa, cynizmu, chęci używania. Wojewodzie i Królowi przeciwstawia się Mazepa, z woli poety — człowiek „z gminu", dzielny, pełen szlachetnych uczuć.

Otóż tutaj nasuwa się pewna kwestia do dyskusji. Jeśli przyjmiemy założenie, że stworzony przez poetę obraz zamierzchłych czasów w „Balladynie", że obraz czasów feudalnych w „Mazepie" — że te obrazy wynikły z badania przyczyny „bezskutecznych usiłowań" doby upadku powstania listopadowego, to czyż nie należy przypuścić, iż zarówno postać Kirkora, jak postacie Zbigniewa i Mazepy, są próbami stworzenia pozytywnego bohatera? Zaraz po „Kordianie" pracował Słowacki nad zagubioną później tragedią o „Wallasie", średniowiecznym bohaterze szkockim, i tak pisze w jednym z listów: „Wiesz, co mnie do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą?" W „Balladynie" Kirkor, w „Mazepie" Zbigniew posiadają właśnie tę wymarzoną czystość duchową. Lecz mimo swej czystości żaden z nich nie zadowolił poety. Zbigniew, niesłychanie bierny, nie otrzymał w utworze roli politycznej, Kirkor zaś jest tylko „naprawiaczem krzywd", potrafi umrzeć za naród, ale żyć dla niego nie potrafi. Najbardziej z wymienionej trójcy nadawałby się na „pozytywnego bohatera" Mazepa, którego siła pochodzi z własnych wartości. Bądź co bądź dobrą legitymacją dla Mazepy było pewne jego „pokrewieństwo" psychiczne ze Słowackim dni Genewy — Paquis. I poświęcenie pazia, jego bitność są może wyrazem tęsknot samego poety, który nie zdobył się na poświęcenie w czasie powstania.

Do czego prowadzi ten po trosze historyczno-literacki wywód? A do tego, że kwestia, jaka zrodziła się w umysłach teoretyków literatury co do osoby bohatera tragedii, została zdecydowanie i chyba jak najbardziej trafnie rozstrzygnięta choćby przez rzeszowską młodzież szkolną, darzącą najwyższą sympatią postać Mazepy. Świadczy to, iż nic szlachetnie dzielnego nie jest młodzieży obce. Wyciągnijmy z tego należyte wnioski do planowania repertuarowego.

Już chociażby na tym widzianym przeze mnie przypadkowo odcinku wychowania młodego widza Teatr im. W. Siemaszkowej spełnia w sposób godny aplauzu swój obowiązek teatru wojewódzkiego.

Zespół „Mazepy", skorzystawszy z cennych wskazań reżyserskich artysty tej miary, co Marian Wyrzykowski, przekazał widowni kulturalnie klejnoty poezji Słowackiego. Na uznanie zasługuje przede wszystkim nienaganna dykcja i dobre mówienie wiersza nawet przez aktorów rozpoczynających dopiero karierę sceniczną. Do takich należy np. Adam Raczkowski, posiadający świetne warunki, ale jeszcze nieco za sztywny Zbigniew (czy też „profilaktycznie" unieruchomiony przez reżysera). Wydaje mi się wszakże, iż w jego osobie teatrowi przybędzie wkrótce wrażliwy aktor romantyczny.

Mówiąc o najmłodszych pragnę z miejsca wyrazić podziw dla osiągnięć Ireny Angerman. Jej Amelia istotnie pełna jest naturalnego wdzięku. Cicha, elegijna, czystego serca, lecz bynajmniej nie irytująca minoderyjną naiwnością, jak to się zdarza niekiedy wykonawczyniom tej roli. Prawdziwy był odpór dany dwukrotnie zalotnikom, wzruszało bardzo pożegnanie ze Zbigniewem i wręcz wstrząsająca była scena przysięgi.

Postarzać się musi w sensie aparycji i tonu grając Wojewodę Zdzisław Kozeń, co niewątpliwie utrudnia zadanie i tak już niełatwe. Jednak rysunek postaci stworzonej przez Kozenia, byłby całkiem udatny, gdyby nie pewien dar (o, paradoksie!), w który natura wyposażyła tego artystę: ma on fenomenalnie piękny głos, urody niemal unikalnej w teatrze dramatycznym. I p. Kozeń jest tego aż nadto świadom. Atoli z chwilą gdy o tym zapomina, wyzbywa się skutecznie „efektu obcości" Nie ominął w finale raz tej roli, o które rozbijali się niekiedy najwięksi, ale scena oczekiwania syna po pojedynku wypadła znakomicie.

Dyr. Stanisław Bieliński gra Jana Kazimierza z iście królewską dystynkcją polegającą na „niedygnitarskiej" prostocie. Szukając, do czego by się przyczepić, powiedziałabym, że jest odrobinę za mało „negatywny" (może z obawy przed naszkicowaniem czarnego charakteru).

Wreszcie faworyt publiczności — Mazepa. Gra go Henryk Gońda, którego wierność lubelskiemu Teatrowi Osterwy, bodaj od r. 1957 do 1963, nie została należycie doceniona. Cieszy mnie więc bardzo, że Gońda otrzymuje w Teatrze im. W. Siemaszkowej role tej miary, co Mazepa, który jest najzupełniej w skali jego dyspozycji. Artyście udała się postać trafiająca w upodobania widzów — zrazu żywością temperamentu, później powagą i męstwem. W epizodycznej roli Księdza obsadzono Tadeusza Mroczka, asystenta reżysera; Ireneusz Erwan jako Chmara wywiązał się sprawnie z przydanego mu opowiadania Chrząstki, a Irena Żuromska czuła się swobodnie we wścibskiej paplaninie Kasztelanowej.

Scenografia Łucji Kossakowskiej w miarę nowoczesna.

W sumie — brawo, bez porównań in plus czy in minus.

WAKACJE

Jan Koprowski

To, co powiem, wyda się dziwne wszystkim, a co gorsza — wyda się dziwne również mnie samemu. Otóż każdego roku, gdy powracamy z wakacji, czujemy się zubożeni. A powinno być odwrotnie. Jedziemy przecież na wypoczynek w góry czy nad morze, zwiedzamy nowe kąty, opalamy się, nabieramy nowych sił do dalszego życia, poznajemy kraj i ludzi. Wszystko to prawda. Ale zawsze po takim powrocie dowiadujemy się, że ktoś utonął, wpadł pod pociąg lub zginął w innych tragicznych okolicznościach. Już nieraz stwierdziliśmy z głębokim smutkiem, że są wśród nich nasi dalsi lub bliżsi znajomi i stąd to uczucie zubożenia. Znowu jesteśmy ubożsi o kogoś, kto odszedł od nas na zawsze, choć wcale nie miał na to ochoty, ba! wcale się tego nie spodziewał. Jesień po wakacjach wita nas listami, w których wyczytujemy opis śmierci w najosobliwszych warunkach, jakich nie wymyśli literatura a wymyśli życie, zdarza się i tak, że ktoś, wracając do swojego miasteczka, wstępuje „po drodze" do nas, aby opowiedzieć szczegółowo i z detalami przypadek, który spotkał osobę bliską sercu opowiadającego a nam dobrze znaną. Dlatego boimy się wakacji. Czekamy na nie, cieszymy się gdy nadchodzą, ale boimy się ich wiedząc, że nie oszczędzą nam wydarzenia o nieodwracalnym epilogu. Zastanawiałem się nieraz, czy nie zrezygnować z wakacji w ogóle i nie pozostać w domu w nadziei, że zapobiegnę w ten sposób katastrofie i nie stanie się nic złego. Jest to nadzieja naiwna, graniząca z dziecięcą wiarą w cuda czyli rzeczy na tym świecie niemożliwe. Ale chwytałem się tej nadziei jak tonący brzytwy. Niestety, nie było to na dłuższą metę wykonalne. Mieszkamy w mieście, pełnym dymu i pyłu, wdychanego przez cały rok i kiedy przyjdzie lato — trzeba to miasto opuścić na kilka tygodni po prostu dla podreperowania zdrowia. Więc wyjeżdżamy, pełni ukrytego lęku, że i tym razem nie ominie nas zła nowina.

Ostatnie lato było bardzo piękne. Skłonni do pośpiesznych uogólnień dziennikarze nazwali je nawet latem stulecia. Niebo bez jednej chmurki, dzień w dzień słońce i upały nie do zniesienia. W góry i nad morze pociągi odchodziły przepełnione, na stacjach panował tłok i jeśli kiedy, to właśnie teraz pisanie o dantejskich scenach rozgrywających się przed wejściem do wagonu, byłoby jak najbardziej na miejscu. W tej sytuacji postanowiliśmy spędzić wakacje w pobliżu naszego miasta — w małej miejscowości wczasowej, położonej w pięknym lesie mieszanym nad zdatnymi do kąpieli stawami. Nie narażając się na niewygody podróży, zdołaliśmy bez trudu dotrzeć do okazałego domu, który zaledwie przed rokiem oddano do użytku wczasowiczów. Dostaliśmy pokój na drugim piętrze, w samym końcu gmachu, dokąd nie docierały odgłosy z izb zajmowanych przez rodziny z dziećmi. Z balkonu, na którym w godzinach południowych pełno było słońca, spoglądaliśmy na stojące rzędem dęby, poza którymi, albo może lepiej powiedzieć: poprzez które przeświecała gładka powierzchnia stawów. Las tu piękny i aż dziw, że odkryliśmy go dopiero obecnie, choć od tylu już lat mieszkamy tak niedaleko. Z prawdziwą przyjemnością spacerowaliśmy po tym lesie wśród sosen, brzóz, jodeł i rzadkich modrzewi, rozkoszując się powietrzem pachnącym mchem i grzybami. Było cicho i spokojnie, jedynie w niedzielę przyjeżdżało tu z miasta więcej ludzi, ale ci lokowali się nad stawami, rezygnując z zapuszczania się w leśne gęstwiny. Rzadko spędzamy wakacje razem z żoną, zazwyczaj ona wyjeżdża z jednym synem a ja z drugim, by nie puszczać ich samopas. Tym razem nasi chłopcy pojechali na obóz wędrowny z opiekunem szkolnym, byliśmy więc spokojni i spokój ten sprawił, że czuliśmy się oboje bardzo dobrze. Na spacerze prowadziliśmy długie rozmowy, na które nie było czasu w ciągu roku. W rodzinie, gdzie są dzieci, tyle mnoży się spraw i kłopotów, że właściwie wszystek czas poświęcony zostaje im, rodzice są wciąż na usługach dzieci i nie mają wolnej chwili dla siebie.

Mogę powiedzieć śmiało i nie będzie w tym żadnej przesady, że odkryliśmy siebie z żoną na nowo, a w naszych rozmowach odnajdywaliśmy wiele wspólnych myśli, których nie mieliśmy sposobności powiedzieć sobie wcześniej. Spać kładliśmy się z wieczora, jakby powiedziała moja matka: razem z kurami, spaliśmy również w dzień, czytaliśmy mało, gazet nie czytaliśmy wcale, słowem: wypoczynek, jakiego dawno już nie zaznaliśmy. Czasami tylko budził nas w nocy głos ptactwa, do dziś nie wiem, czy były to pohukiwania sów, czy nawoływania kosów, bo wyrwani ze snu niezupełnie zdawaliśmy sobie sprawę, co dzieje się za naszymi oknami. Pobyt nasz miał się ku końcowi i nic nie zapowiadało wydarzeń, które właśnie nastąpiły.

Pewnego dnia, podczas kolacji, przybiegła z recepcji panienka z wiadomością, że jest pilny telefon do mnie. Pilne telefony nie wróżą nic dobrego. Żona odłożyła z przestrachu widelec, a ja zerwałem się jak oparzony i pobiegłem do recepcji. Gdy wróciłem, byłem blady jak ściana, ale żeby nie psuć nastroju, powiedziałem, że był to mało ważny telefon z redakcji. Przy naszym stoliku, oprócz nas dwojga, siedziało małżeństwo, z którym zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. On, rekonwalescent po zawale, i wydawało mi się, że nie należy w jego obecności mówić o rzeczach smutnych czy zgoła tragicznych. Dopiero, gdy znaleźliśmy się z żoną w naszym pokoju, powiedziałem jej tę straszną prawdę. Mój siostrzeniec i dwóch jego kolegów zatruło się gazem. Stało się to ubiegłej nocy w domu siostrzeńca pod nieobecność jego rodziców. Gubiliśmy się w domysłach, jak do tego doszło. Przypadek, desperackie samobójstwo, zamach? Nie mogliśmy zatelefonować, gdyż siostra mieszka w małej podgórskiej osadzie na Dolnym Śląsku, nie ma telefonu, a poczta o tej porze już nie urzęduje i nie można przywołać jej do rozmównicy. Oczywiście nie było mowy o spaniu. Rano spakowaliśmy rzeczy i wróciliśmy do domu. Uzyskałem połączenie telefoniczne, ale ani siostra, ani szwagier, przywaleni tak wielkim nieszczęściem, nie byli zdolni do żadnej rozmowy. Dobrze, że w drodze na pocztę towarzyszył im mój brat, który poinformował nas z grubsza o tym, co zaszło. Tego samego dnia wieczorem pojechaliśmy na Dolny Śląsk. Przedtem zdołaliśmy jeszcze zawiadomić drogą radiową naszych synów, aby niezwłocznie udali się na miejsce i razem z nami wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych.

Pogrzeb odbył się po południu. Dzień był ciepły, sierpniowy. Na cmentarz przyszły tłumy. Nie wiem, ilu mieszkańców liczy osada, ale wydawało się, że nikt nie pozostał w domu i na ten czas ludzie porzucili wszelkie zajęcia. Nie będę opisywał rozpaczy rodziców. Nad grobem działy się rozdzierające sceny, ludzie całkiem obcy płakali wraz z odchodzącymi od zmysłów rodzicami. Ale najgorsze przyszło dopiero potem. Dopóki rodzice tragicznie zmarłych chłopców zajęci byli załatwianiem formalności pogrzebowych, rozmowami z prokuraturą i milicją, zamawianiem trumien i wieńców, dopóty trzymali się jeszcze jako-tako, starając się panować nad sobą. Ale kiedy pochowali synów, ludzie się rozeszli i cmentarz opustoszał, poczuli się nagle całkowicie osamotnieni. Zdawało im się, że pozostali na świecie tylko oni z własnym, nie dającym się utulić nieszczęściem. Nie próbowałem ich pocieszać, bo nie miałoby to żadnego sensu. W takiej chwili słowa są zupełnie bezradne. Szedłem za nimi do domu mojej siostry, gdzie mieliśmy zjeść wspólny obiad. Nikt nic nie mówił, miałem takie wrażenie, że otwarły się nagle jakieś nieprzeniknione mroki milczenia, w których pogrążaliśmy się wszyscy coraz bardziej. W mieszkaniu siostry usiedliśmy wokół stołu, ale nikt nie myślał o jedzeniu. Matki siedziały z rękami opuszczonymi na podołek, w czarnych sukniach, z woalkami na twarzach, zapatrzone w jeden nieuchwytny punkt gdzieś przed sobą, ojcowie wyjęli papierosy, by zapalić, ale rychło gasili zapalone papierosy, jak by nie odnajdując w nich żadnego smaku. Nikt nie próbował przerwać milczenia. Powiedzieli sobie już wszystko, wylali z siebie żal i boleść, po stokroć rozważyli jak być mogło, nim doszło do tego tragicznego wydarzenia.

Wszyscy chłopcy mieli po siedemnaście lat, chodzili do tej samej klasy w tej samej szkole i każdy miał na imię Andrzej. Co za zbieg okoliczności! Siostrzeniec, zarazem mój syn chrzestny, był z tej trójki najmłodszy, ale różnica sprowadzała się do paru zaledwie tygodni, co właściwie nie miało żadnego znaczenia. Był wyrośnięty, dobrze zbudowany, nie dalej niż miesiąc temu, w lipcu, przyjechał do nas w odwiedziny. Pamiętam nawet, z jakim zachwytem opowiadał o filmie „Grek Zorba". Ale gdym go zapytał, czy potrafiłby mi powiedzieć, dlaczego film ten tak go zachwycił, rzekł po krótkiej chwili namysłu: „Wiem, że bardzo mi się podoba, ale nie wiem, dlaczego". Roześmieliśmy się wszyscy, bo działo się to przy kolacji, ale dziś, kiedy o tym myślę, odkrywam w jego słowach coś takiego, co wcale nie jest śmieszne.

Nie mogłem znieść tego milczenia i wyszedłem do kuchni. Dobrze znałem dom mojej siostry, położony na uboczu w małym ogrodzie, przyjeżdżaliśmy tu z naszymi chłopcami na wakacje, a kuchnię, do której teraz wszedłem, pamiętam tak dokładnie, że rozbudzony w środku nocy, mógłbym powiedzieć jak wygląda i określić ściśle, gdzie się jaki przedmiot znajduje. W tej kuchni właśnie stało się to wszystko. Próbowałem odtworzyć sobie obraz ostatniego wieczoru, który chłopcy spędzili razem. Jednego tylko nie mogłem zrozumieć, czego zresztą nie rozumieli także ich rodzice: po co im były aż dwa garnki kartofli? Na kuchence gazowej postawili dwa emaliowane garnki, pełne ziemniaków, zalanych wodą. Było późno, może dwunasta, a może już pierwsza w nocy. Sami usiedli na tapczanie w przyległym pokoiku. W pokoiku tym zwykle nocowałem, ilekroć przyjechaliśmy do siostry. Lubiłem go, bo jest mały i przytulny. Niewielkie okno wychodzi na sad, pozostawiałem je zazwyczaj otwarte na całą noc. Ale tego wieczoru okna były pozamykane wszędzie: w pokojach i w kuchni. Czy w ów dzień sierpniowy tak nagle pochłodniało, że chłopcy zmuszeni byli pozamykać wszystkie okna? Nikt nie pamięta jaka wtedy była pogoda. Siostra z Krystyną spędzały czas nad morzem, a szwagier wyjechał na delegację służbową do Szczecina, skąd w drodze powrotnej zabrać miał żonę z córką do domu. Przyjechali w poniedziałek rano. Zastali chłopców w ogrodzie na murawie. Było już pogotowie, byli lekarze. Dano chłopcom zastrzyki, próbowano zastosować sztuczne oddychanie. Nadaremno. Chłopcy leżeli w samych tylko slipkach pod jabłonkami. Widzę ich: trzech młodych opalonych siedemnastolatków, do których uśmiechało się życie i piękna nieodgadniona przyszłość. Wybierali się nazajutrz na wycieczkę w góry karkonoskie, z której mieli po dwóch dniach powrócić. Z tej wycieczki nie powrócą już nigdy.

Sąsiadka, która pierwsza spostrzegła, co się stało, opowiadała później, że dwaj chłopcy (jeden z nich to mój siostrzeniec) leżeli w pokoiku na tapczanie z przechylonymi do siebie głowami, a tego trzeciego znaleziono w kuchni na kaloryferze. Zdrzemnęli się, a woda, po zagotowaniu, zaczęła kipieć i zalała palenisko gazowe. Na pewno ten trzeci zerwał się i pobiegł do kuchni, ale już było za późno. Nie miał siły, by dojść do gazu i wyłączyć kurki, upadł na kaloryfer i tak pozostał do rana. Obok kaloryferu jest skrzynka na pastę i szczotki do butów. Ileż razy czyściłem sobie na tej skrzynce pantofle, a potem siadałem na niej, opierając się jedną ręką o kaloryfer. Chłopcy, którzy pozostali na tapczanie, nie potrafili już zerwać się z posłania. Zdołali zaledwie unieść głowy i opadli znowu, zbliżając się ku sobie. Czy bardzo się męczyli?

Jeśli można mówić o śmierci bezsensownej, to tutaj bezsens jej osiągnął szczyty. Kiedy umiera człowiek stary, wiemy o nim wiele, bo ma on za sobą całe swoje życie. Żal nam go, jak żal każdej istoty, która od nas odchodzi, ale żal ten nie jest tak dojmujący, jak w przypadku śmierci młodego człowieka. Cóż dopiero, gdy umierają trzej siedemnastoletni chłopcy, z których każdy miał dopiero rozegrać wielką partię swojego życia. Nie wiemy, czym by się stali, więc możemy przypuścić, że mogli osiągnąć wszystko, wznieść się na wyżyny ludzkich możliwości. Może straciliśmy wielkiego podróżnika i wybitnego stratega, może genialnego artystę i fenomenalnego uczonego. Mój siostrzeniec był wszechstronnie uzdolniony, posiadał rzadkie wśród inteligentów umiejętności manualne, a i pozostali chłopcy, których przecież znałem, wyróżniali się spośród innych. Ale gdyby nawet wiedli życie zupełnie zwyczajne i niczym się nie wsławili, w co zresztą trudno mi uwierzyć, żal, że nie mogli tego zwyczajnego życia pokosztować, że nie zbudowali domu, nie zasadzili drzewa i nie odbyli wycieczki w góry, skąd świat wydaje się większy i szerszy.

Widzisz, Andrzeju, na co ci przyszło. A nie trzeba to było pojechać nad morze razem z matką i siostrą? Miałeś opłacone wczasy i zrezygnowałeś z nich jedynie dlatego, że przyjechali do ciebie koledzy. Nie chciałeś ich odprawiać do domu, było ci żal zostawiać ich samych i w ten sposób zostałeś już z nimi na zawsze. Rodzice, kochający swoje dzieci, popełniają wciąż ten sam błąd: pozwalają dzieciom na wszystko. Ojciec pozwolił ci zostać, a powinien był zmusić cię do wyjazdu. Nigdy sobie tego nie wybaczy i do końca życia będą go gryzły wyrzuty. Ale cóż z wyrzutów, skoro ciebie już nie ma, skoro nie ma twoich kolegów... Świat stał się uboższy, bo zabrakło w nim waszych marzeń i waszych planów. Stoję teraz w kuchni, w której tyle razy staliśmy obaj, żartowaliśmy, przekomarzaliśmy się, często w obecności twojej matki i twojego ojca, pokładających w tobie tak wielkie nadzieje. Ojciec założył dla ciebie warsztat, byś miał gdzie przeprowadzać swoje prace i eksperymenty mechaniczne, wystarał się nawet o koncesję. Dziś pokazywał mi pieczątkę firmy, w której ty, gdybyś zechciał, mogłeś odegrać główną rolę. I cóż mi po firmie, co po warsztacie, skoro jego nie ma — powiedział twój ojciec. Zlikwiduję ją, sprzedam narzędzia i wszystko, com przez tyle lat gromadził, bo nie chcę, żeby mi przypominały wciąż Andrzeja, o którym i tak nie będę mógł zapomnieć.

Twój ojciec siedzi teraz w pokoju i milczy. Siedzi tam twoja matka a moja siostra, która zawsze była chuda, a z której teraz pozostał tylko cień. Siedzą ojcowie i matki twoich kolegów i nie mogą przyjść do siebie. Przypominają skamieniałe rzeźby, są jak one milczący i nieruchomi. Przywiozłem ci cytrę, którą zapomniałeś zabrać z sobą, gdyś był ostatnio u nas. Podobała ci się ta cytra, podarowałem ci ją, nam nie była potrzebna, bo nikt w naszym domu grać na niej nie potrafi. A ty ledwieś ją dotknął, już wybrzdąkałeś „wlazł kotek na płotek i mruga", choć instrument ten był ci obcy i nigdy przedtem nie miałeś z nim do czynienia. Ojciec twój zawiesił cytrę na ścianie w pokoiku, gdzie zwykle odrabiałeś lekcje i spałeś. Z rzeczy, które pozostały po Andrzeju, zrobię muzeum — powiedział. Ojciec twój będzie teraz żył tylko tobą. Będziesz mu towarzyszył w pracy i w domu, wszystkie swoje myśli obróci ku tobie. Będzie przeżywał twoją maturę, twoje studia, twój awans, w jego marzeniach wszystko stanie się piękniejsze, niż być mogło. Już nie sprawisz mu żadnego zawodu, nie zamartwi się, że cię tak późno wieczorem nie ma w domu lub że nie powiodło ci się w matematyce. Świadectwo twoje od góry do dołu zawierać będzie same piątki, staniesz w rzędzie najlepszych — duma i chluba ojca, który tak bardzo cię kochał. Andrzeju, Andrzeju, synu mój chrzestny, w mojej pamięci zapisałeś się jak najlepiej. Gdy myślałem o tobie, mówiłem sobie: on jest przejrzysty, wszystko w nim widać, nie potrafi skłamać, a jeśli zdarzy się, że spróbuje kłamstwa, to od razu zaczerwieni się po uszy i rychło się z tego wycofa.

Dziś rano ojciec twój opowiadał mi, jak było w szpitalu. „Chciałem być przy wszystkim i widzieć wszystko, co dotyczy Andrzeja. Gdy wszedłem do sali, Andrzej leżał nagi. Z miejsca dostałem gęsiej skórki na całym ciele. Wydawało mi się, że jest mu zimno i marzłem razem z nim i za niego. W pewnej chwili podszedłem bliżej, żeby go przykryć prześcieradłem, ale obecny lekarz powstrzymał mnie od tego zamiaru. Andrzej miał lekko rozchylone usta. Byłem pewien, że pragnie mi coś powiedzieć. Chciałem mu to ułatwić, nachylając się nieco, tak aby nie musiał się wysilać. Ale on nie powiedział nic, nic. To straszne. A ja wiem, że miałby mi tak wiele do powiedzenia". Nie będę ci powtarzał, co działo się dalej, bo przecież sam wiesz o tym najlepiej. Rozglądam się teraz po kuchni i nie mogę pogodzić się z tym, że cię tutaj nie ma i nigdy już nie będzie. A pamiętasz, jak w ciepłe dni lata wychodziliśmy z kuchni na balkon i przy stole o żelaznym blacie jedliśmy razem obiad? Ja siadałem w rogu pod osłoną czereśni, która obejmowała gałązkami tę część balkonu, a ty siadałeś naprzeciwko — plecami do słońca. Byłeś jedynie w kąpielówkach, opalony i uśmiechnięty. Jedliśmy powoli, rozmawiając o wszystkim i o niczym, przed nami, jak na dłoni, Karkonosze, które w dzień o dobrej widoczności były tak blisko, iż wydawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, aby dotknąć nagrzanego od słońca grzbietu. Lubiliśmy obaj te łagodne góry, lubili je twoi rodzice, lubiła moja żona a twoja ciocia i lubili moi synowie. Aż mi dziwno, że tak niewiele obchodziły nas Karpaty, że nie tęskniliśmy do Zakopanego, natomiast tak bardzo wdarły się w nasze życie Sudety ze Śnieżką, Szrenicą, Wielkim Szyszakiem i Śnieżnymi Kotłami. Ileż razy błądziliśmy po lesie karkonoskim, zbierając jagody i grzyby. Najpiękniej jest tu właściwie na przełomie lata i jesieni, kiedy liście poczynają rdzewieć i las nabiera w blaskach słońca różnych odcieni. W dolinie płynie rzeka, a właściwie górski potok, pełen szumu i pstrągów. Nie wejdziesz do tego potoku, nie wypluskasz się w zimnej, prawie lodowatej wodzie, na której powierzchnię padają wydłużone cienie nadbrzeżnych świerków. Pusta jest ta kuchnia bez ciebie, Andrzeju. Jestem tu sam, ale to nie potrwa długo. Gdy ojciec twój zauważy, że mnie nie ma w pokoju, przyjdzie tu a za nim — moja żona, moja siostra i moi synowie.

Było już zupełnie ciemno, gdy zaczęliśmy się szykować do wyjścia. Pożegnaliśmy się z rodzicami Andrzeja i rodzicami jego kolegów. Chciałem coś powiedzieć, ale że nie znalazłem właściwych słów, objąłem mocno ojca Andrzeja i jego mamę i milczeniem wyraziłem im nasz głęboki żal i nasze współczucie. Przez całą drogę, aż do stacji, nikt z nas nie powiedział ani słowa. Obok szli nasi synowie, z których najmłodszy, rówieśnik Andrzeja, był blady jak kreda. Spoglądałem na niego ukradkiem i serce ściskało mi się boleśnie. I choć byłem bliski łez, starałem się opanować dławiące w gardle wzruszenie. Dopiero, gdy znaleźliśmy się w przedziale wagonu i pociąg ruszył z miejsca — nie wytrzymałem i rozpłakałem się jak dziecko.

Miroslav Valek

Mysi sonet

Cóż to takiego zaszło między nami?
Cóż to się stało, że milczysz jak mysz?
Jest smutna wierzba, jest ławka, jest krzyż,
jest niebo, które kurzy pierzynami

chmurzysk, jest moja dłoń na dłoni twojej.
Lecz ciebie nie ma! Okrucieństwo złud!
Głowa na głazach wsparta. Próżny trud.
Ty drozdem jesteś, lżej ci bez urojeń;

piękniejszą jutro wymyślisz dla cisz
piosenkę. Moja wciąż bezradnie gra mi:
Jest smutna wierzba, jest ławka, jest krzyż...

Od ciebie teraz krótsze miewam listy,
deszcz pada chłodny, przemija dzień mglisty.
Cóż to takiego zaszło między nami?

Fraňo Kráľ

Kąpiące się ciała

Ten sopran słodkawy ten brzękot gitary
Dzintari Bulduri Melluži Assari
do szumu do prądu do morza rozsiany
ten sopran słodkawy ten brzękot gitary

Ze słowackiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

Pasja księdza Paciaka

Romuald Wiśniewski

STRYCH jest wysoki, obszerny jak stodoła, a belki podtrzymujące konstrukcję dachu czarne, okopcone i nadwęglone, bo kilka lat temu wybuchł tu pożar, który z trudem ugaszono. Na sznurach i sznureczkach dziesiątki halek, majtek i staników. Malutkie okienko wpuszcza taką odrobinę światła, że miejscami prawie nic nie widać.

— Musimy iść inteligentnie, żeby nie ściągnąć tego całego kramu — ostrzega mnie ksiądz.

Więc schylamy się i kluczymy. Co chwila wpadam twarzą w mokre koronki fatałaszków panien organistanek, a nogi wzbijają z podłogi kłęby kurzu. W kurzu zaś, na podłodze, bez żadnego zabezpieczenia stoją — patrzę i próbuję liczyć, lecz wreszcie rezygnuję — dziesiątki, nie, setki obrazów. Na koniec docieramy do owego okienka i w nikłym promyku ksiądz pokazuje mi swoje skarby. Dorobek życia.

A życie miał ksiądz Władysław Paciak zupełnie niezwykłe. Kiedy w Lublinie pokazano jego wielką wystawę pt. „Majdanek", doniosły o tym chyba wszystkie gazety w Polsce oraz radio i telewizja. Recenzenci podkreślali zaangażowanie malarza sprawą tak wciąż aktualną i bolesną, mimo że od tamtych strasznych dni upłynęło prawie ćwierć wieku. Nie jestem krytykiem sztuki i nie zamierzam odbierać chleba krytykom. Więc niniejsze nie będzie o obrazach, tylko o człowieku, który je malował.

Katalog wystawy informował, iż autorem obrazów jest duchowny katolicki. „Ksiądz malujący Majdanek? — pomyślałem sobie. — Albo starszy człowiek, który tam był więziony, albo świeżo upieczony absolwent seminarium, jeden z tych młodych, którzy domagają się reform w kościele i większego związania działalności tej instytucji z aktualiami codzienności".

Nie znałem do niedawna tego nazwiska. Lecz w Radomiu, gdzie ksiądz Paciak mieszka stale, nie miałem trudności w uzyskaniu jego adresu. „Sienkiewicza 13, dom parafialny", — poinformowali mnie koledzy ze „Słowa Ludu".

Na klatce schodowej spotykam starszego mężczyznę, średniego wzrostu, w zniszczonej sutannie. Mówię, kogo szukam.

— To ja.

Przedstawiam się, proszę o rozmowę.

— Dobrze, tylko najpierw musi mi pan pomóc.

Idziemy na ostatnie piętro, bierzemy po kilka obrazów, schodzimy na dół, potem podwórzem i drugą klatką schodową na strych.

— Pokój mam malutki. Część obrazów wisi na różnych wystawach, cykl „Majdanek" krąży gdzieś po Polsce, trochę wywiozłem do rodziny. Większość trzymam jednak tutaj, bo nie mam gdzie.

Oglądam kopie starych mistrzów flamandzkich, bo ksiądz zaczynał od kopiowania. Ponad 40 lat pracy. Poszukiwanie własnego „ja". Poszukiwanie jakże trudne, gdy się jest samoukiem, bez żadnego przygotowania fachowego.

Dziwnym był dzieckiem Władysław Paciak. Syn chłopa z Potkanej pod Radomiem, od małego lubił rysować, malować, śpiewać, interesował się grą na różnych instrumentach. A po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do Seminarium Duchownego w Sandomierzu. W roku 1929 otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował w małych, wiejskich parafiach, a przy tym rysował i malował, z coraz większym zapałem, z coraz większym zapamiętaniem. Szukał własnego oblicza twórczego, lecz czuł się coraz bardziej zagubiony, bezradny. Starał się więc kilkakrotnie uzyskać u władz kościelnych skierowanie na studia, ale daremnie. Odmowa kurii biskupiej była — zubiektywnie rzecz biorąc — zrozumiała, bo ostatecznie nie po to się przez kilka lat kształciło kogoś w seminarium duchownym, by potem miał zajmować się portretowaniem modelek, a nie kaznodziejstwem. Odsługiwał więc ks. Paciak swą powinność, przeprowadzał się z jednej plebanii na drugą, aż do roku 1945. Wtedy dopiero biskup sandomierski zezwolił mu na rozpoczęcie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ksiądz Paciak zapisał się na teologię i na historię sztuki, a jednocześnie na Akademię Sztuk Pięknych. Miał wtedy 42 lata. Nie jest łatwo uczyć się w tym wieku, nawet jeśli nie ma się przy tym żadnych innych obowiązków. Mimo to ksiądz Paciak zdał w przepisowym terminie wszystkie egzaminy na każdym z trzech kierunków studiów. W roku 1950, już teraz ksiądz magister został przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków, w roku 1952 jego status artysty malarza został uznany przez władze kościelne, które ulokowały go przy parafii Panny Marii w Radomiu. Jest zobowiązany do paru podstawowych obowiązków kapłańskich, pozostały zaś czas może przeznaczać na swą twórczość.

Z człowieka bez talentu żadne studia malarza nie zrobią. Utalentowanemu pomagają w szybszym rozwoju. U Paciaka natomiast nastąpił regres, można by rzec załamanie. Kiedy wstępował do akademii, był już człowiekiem w pełni dojrzałym i choć w malarstwie samoukiem, amatorem, to jednak o ukształtowanym wyrazie. Wiedza zmusiła go do nowego spojrzenia na to, co dotychczas namalował, do rewizji wielu ugruntowanych już poglądów na sztukę.

— W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że choć nie ma potrzeby przekreślania mego dotychczasowego malarstwa, to jednak dalsza droga musi wyglądać inaczej. Właściwie więc wiele rzeczy musiałem zaczynać od początku — wspomina.

Lecz wiedza szybko procentuje. Ksiądz maluje coraz więcej, zaczyna też pokazywać swoje prace publicznie. Od roku 1956 bierze udział we wszystkich wystawach wojewódzkich i okręgowych. W 1956 otrzymał nagrodę wojewódzką, w 1957 — nagrodę miasta Radomia. Wciąż jednak jest nie znanym szerzej księdzem, oddającym się niecodziennej dla tego stanu pasji.

W roku 1960 Paciak wyjeżdża na rok za granicę, z czego pięć miesięcy spędza w Paryżu, gdzie ogląda galerie, maluje, a także sam wystawia. Ten wyjazd nie przyszedł księdzu łatwo, musiał uzasadniać go na prawo i na lewo; niejedną personę pewną, iż Paryż jest światowym centrum zepsucia obyczajowego, niezbyt odpowiednim dla osoby duchownej, przekonać trzeba było, że jest przede wszystkim światowym centrum sztuki. O wiele łatwiej poszło z wyjazdem w roku 1961 do Rzymu (wiadomo!) gdzie też malował i wystawiał.

Studia malarskie pozwoliły księdzu Paciakowi nie tylko udoskonalić warsztat, ale i dały mu wiedzę o tym, co się dzieje w malarstwie światowym, jakie są najnowsze prądy, kierunki i mody. Natomiast przejście przez wielkie tygle plastyki, jakimi są stolice Francji i Włoch, nauczyły go, że nie można kurczowo chwytać każdej kolejnej nowinki. W samym Paryżu jest kilkadziesiąt tysięcy malarzy. Czy drepcząc z nimi zgodnie krok w krok można szukać własnego oblicza artystycznego? A własne oblicze, własne spojrzenie na świat uwarunkowane jest nie tylko przeżyciami osobistymi, wiedzą i doświadczeniami życiowym, lecz także glebą, z której się wyrosło i otoczeniem, w którym się żyje.

Pobyt w światowej metropolii sztuki sprawia, iż Paciak nie rezygnując z ambicji artystycznych, zaczyna zwracać coraz więcej uwagi na społeczne znaczenie swej twórczości. Rysuje i maluje dziesiątki ludzi z najbliższego otoczenia: dzieci, sprzedawców, żołnierzy, starców, artystów. Maluje nowe pejzaże przemysłowe. Powstaje wreszcie jego wielki cykl „Majdanek". Ten ostatni eksponowany razem z serią zdjęć Wojciecha Stana noszącą również tytuł „Majdanek", pokazany najpierw w Radomiu a potem w Lublinie, przyniósł obu autorom notatki i recenzje w całej prasie, radiu i telewizji, katalog i album z reprodukcjami (Wydawnictwo Lubelskie). Sprawdziły się przewidywania księdza: społeczeństwo żywo zareagowało na tematykę społeczną.

W roku 1965 miał wystawę indywidualną w Radomiu (200 prac) oraz otrzymał nagrodę na wystawie ogólnopolskiej w Radomiu i nagrodę Tow. Sztuk Pięknych. W r. 1967 ma swoją indywidualną ekspozycję w galerii na Nowym Świecie w Warszawie. Wyjechał też z oficjalną delegacją Ministerstwa Kultury i Sztuki — co również uważa za wysokie wyróżnienie — na uroczystości ku czci pamięci pomordowanych w Mauthausen.

Siedzimy teraz w mikroskopijnym pokoiku tej parafialnej kamienicy, pokoiku o jednym oknie, który jest mieszkaniem, pracownią i podręcznym magazynem księdza. Oglądam jego prace. Oleje. Akwarele. Setki rysunków kredką i tuszem. Pop-art, impresjonizm i realizm. Portrety, portrety, portrety. Pejzaże. Martwa natura. Kompozycje abstrakcyjne. I znów ludzie. Tematyka okupacyjna.

— Czy ksiądz był więziony na Majdanku? — pytam.

— Nie. Niemcy aresztowali mnie dwukrotnie: w roku 1939, a potem w 1940, ale zwalniali. Gdybym jednak nie przeszedł przez przesłuchania w gestapo, to zapewne też bym się zajmował tematyką okupacyjną. To były zbyt ciężkie czasy, zbyt wielkie zbrodnie, by mogły być pominięte przez sztukę. I jeśli zajmuje się nimi literatura, muzyka, film — to musi też i plastyka. Nie możemy, a spotykałem się z takimi zdaniami za granicą, unikać tematów społecznie aktualnych.

Oglądam teraz obrazy o tematyce sakralnej. Madonny z dzieciątkiem — dziesiątki. Chrystus ukrzyżowany — też dziesiątki. Boże Narodzenie. Głowy świętych. — Malarz Paciak jest przecież księdzem Paciakiem, zajmuje się tematyką ziemską, ale i patrzy w niebo — mówi mój gospodarz i pokazuje mi teraz dziesiątki projektów graficznych nowych kościołów i nowych ołtarzy.

Na etażerce stoi jakieś czarne płaskie pudło. To cytra. Ksiądz gra na kilku instrumentach, m. in. na skrzypcach i akordeonie. Wyjmuje teraz cytrę i gra jakąś włoską serenadę. Patrzę na obrazy zawieszone na ścianach. Nie jestem krytykiem sztuki i nie zamierzam narzucać czytelnikowi moich opinii w tej mierze. Interesuje mnie natomiast ten oryginalny człowiek. Wystartował późno, lecz poszedł szybko do góry. Kilka obrazów jego zakupiło Muzeum Narodowe, niektóre trafiły do innych zbiorów publicznych i prywatnych. Otrzymywał nagrody i dobrą prasę. Mieszka jednak i tworzy w małej klitce, ciemnej, bez wygód. Tematyka sakralna, której poświęca przynajmniej połowę swego czasu, nie znajduje odbiorców, bo jego nowe propozycje formalne trafiają na grunt przywykły do sztuki tradycyjnej. Mówi, że interesuje go i ziemia i niebo. Na ziemi ksiądz Paciak nie znajduje jednak pełnego zrozumienia. A w niebie?

Plany i ambicje białostockiej WSI

ZAPADŁA ostateczna decyzja o budowie przy szosie zwierzynieckiej nowego ośrodka dla Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Białymstoku. Będzie to kompleks składający się z pracowni naukowych, sal wykładowych i seminaryjnych, laboratoriów, zakładów doświadczalnych i warsztatów, domów akademickich, budynków mieszkalnych dla pracowników naukowych i dydaktycznych oraz z obiektów socjalnych. Całość zajmie obszar o powierzchni 35 hektarów, kosztować będzie około 300 milionów złotych i pokryta zostanie częściowo z funduszów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, częściowo zaś z wojewódzkich. Dokumentacja już jest wykonywana, w przyszłym roku rozpocznie się wznoszenie pierwszych budynków. Rozwój bazy pozwoli na zwiększenie liczby studentów. Obecnie w białostockiej WSI zdobywa wiedzę 1518 osób, plany na rok 1980 przewidują powiększenie tej liczby do 5800. O tym wszystkim poinformował przedstawiciela „Kameny" rektor uczelni, dr inż. Włodzimierz Chomczyk.

— *Panie Rektorze, WSI w Białymstoku ma za sobą dość długi żywot, a mimo to mało się o niej słyszy.*

— To prawda. Szkoła powstała w roku 1950 jako wieczorowa, a od 1964 r. mamy również studia dzienne, przy czym te ostatnie grupują już więcej niż połowę naszych słuchaczy. Studia dzienne trwają cztery lata, wieczorowe i zaoczne pięć, absolwenci otrzymują dyplomy inżynierów. Dotychczas wydaliśmy 580 dyplomów; w roku bieżącym otrzymają je pierwsi słuchacze studiów dziennych.

— *580 absolwentów po 17 latach istnienia to rzeczywiście niewiele.*

— Znów powiem: to prawda. Proszę jednak nie zapominać, że zaczynaliśmy od zera. Bez kadry naukowej, bez budynków, bez wyposażenia. W mieście nie mającym tradycji akademickich. Zupełnie inny start miała na przykład szkoła inżynierska w Lublinie, która mogła korzystać z pomocy pracowników naukowych tamtejszego uniwersytetu, fizyków, chemików, matematyków. My w tym względzie nie mogliśmy liczyć na białostocką Akademię Medyczną, uczelnię równie młodą i o zupełnie innym profilu naukowym. Mówię „my" mając na myśli uczelnię, lecz wyłączając siebie, bo sam przybyłem tu dwa lata temu z Politechniki w Gliwicach. Znam jednak Białystok, pracowałem tu przez kilka lat, m. in. w Fabryce Przyrządów i Uchwytów. Wracając do głównego nurtu naszej rozmowy: uważam, że obecny stan posiadania szkoły choć nie zaspokaja aspiracji i potrzeb Białostockiego i tak jest dużym sukcesem. Mamy trzy wydziały: Budownictwa Lądowego (specjalność — budownictwo ogólne i przemysłowe), Elektryczny (specjalność — elektrotechnika przemysłowa) i Mechaniczny (z dwoma specjalnościami — technologia budowy maszyn oraz maszyny i urządzenia rolnicze; ta druga w przyszłości stanie się samodzielnym wydziałem). Posiadamy cztery budynki — nieste-ty oddalone od siebie. 300 studentów mieszka w domu akademickim, w przyszłym roku otrzymamy drugi dom. Mamy zakłady naukowe, laboratoria, park maszynowy, jedną z najładniejszych w Polsce hal obrabiarek... Działalność naukowa uczelni budzi duże zainteresowanie zarówno instytutów naukowych jak i przemysłu.

— *W czym przejawia się to zainteresowanie?*

— Instytut Elektroniki w Międzylesiu pod Warszawą w ramach tak zwanej deglomeracji założył w Białymstoku swoją filię i złożył u nas zamówienie na zbadanie pewnych tematów. Zamówienie to realizować będziemy w ramach prac doktorskich. W niedalekiej przyszłości przy filii Instytutu, która zatrudniać będzie 400 osób, powstanie fabryka z 3 tysiącami pracowników. Obie strony liczą na udział kadry naukowej WSI w działalności badawczej Instytutu. Nawiązujemy współpracę z Instytutem Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie. Dla zakładów włókienniczych w Fastach badamy krosno tkackie — chcemy ulepszyć w nim pewne elementy. Dla Wytwórni Wyrobów Precyzyjnych w Czarnej Białostockiej opracowujemy model deszczowni polowej. Zajmujemy się też pewnymi elementami nowego ciągnika dla rolnictwa, który ma być produkowany dla krajów RWPG. Muszę przyznać jednak, że nie zawsze przemysł widzi możliwości, jakie stwarza mu kontakt z uczelnią. Niektóre zakłady wiedząc, że mamy dobry park maszynowy, szukają w nas kooperanta. Przysyłają zamówienia na pilne wykonanie 10 tys. śrub, nakrętek itp. części. Być może, jest to wina uczelni, która dotychczas za często przyjmowała tego rodzaju propozycje. Rzecz jasna, że są one bardziej opłacalne finansowo niż prace badawcze, nie taka jest jednak rola wyższej szkoły technicznej i jej kadry naukowo-dydaktycznej; postanowiliśmy więc obecnie zerwać z tą praktyką.

— *Czy nie było oporu pracowników zainteresowanych materialnie w przyjmowaniu zleceń produkcyjnych przemysłu?*

— Poza nielicznymi wyjątkami — nie. Większość kolegów rozumie, że bez podnoszenia swego poziomu naukowego, bez uzyskiwania kolejnych stopni, nie ma perspektyw stałego związania się z uczelnią. Przemysłowi też chyba wyjdzie na zdrowie, jeśli znajdzie sobie innych podwykonawców, do nas zaś będzie się zwracał po istotniejszą pomoc.

— *Jakie główne tematy badane są przez naukowców WSI?*

— Doc. dr inż. Anatol Jakowluk zajmuje się badaniami reologicznymi, doc. dr Leokadia Ostaszewicz — luminescencją, ja — układami mocy zamkniętych (przekładnie zębate) i (wraz z całą grupą) pewnymi problemami maszyn włókienniczych. W ogóle warto zaznaczyć, że nasza kadra naukowo-dydaktyczna składa się ze 105 osób. Jest to za mało. Dla tych 5,5 tys. studentów w roku 1980 musimy mieć około 500 pracowników naukowo-dydaktycznych. Powinniśmy więc przez najbliższe 12 lat angażować po 30—40 osób rocznie. Robimy to,

(Dokończenie na str. 11)

Z łezką w oku

Mirosław Derecki

SZEDŁEM niedawno wieczorem spokojną uliczką Godebskiego w Lublinie, gdy nagle wypełniła się się ona tłumem młodzieży. Na pobliskim przystanku MPK wysiadła z trojlebusu duża grupa studentów i szła w kierunku dzielnicy uniwersyteckiej. Uświadomiłem sobie wówczas nagle, jak bardzo zmienił się obraz lubelskiej ulicy w kilku ostatnich latach. Fakt drobny, a przecież charakterystyczny, świadczący o — nie zauważanym często przez ogół mieszkańców — przekształcaniu się miasta w silny, dobrze zorganizowany ośrodek uniwersytecki. Jakoś przyzwyczailiśmy się do tego, że mamy w Lublinie pięć wyższych uczelni, kilkanaście tysięcy studentów i trzy już dzielnice akademickie.

Jeszcze kilkanaście lat temu lubelska ulica wyglądała zupełnie inaczej. Na chodnikach było pustawo, jezdnią z rzadka przejeżdżały wysłużone autobusy, wśród nich popularny „Wzorcowy", olbrzymia landara z przyczepą i trzema konduktorami wewnątrz. Mimo wszelkie utyskiwania na MPK zapomniane już zostało dzisiaj słynne powiedzenie, że w Lublinie ten, komu się naprawdę śpieszy, chodzi piechotą albo jeździ dorożką.

Ale o określonych porach dnia główne ulice wypełniały się wielkimi gromadami młodzieży pędzącej w różnych kierunkach. Byli to studenci spieszący z wykładu na wykład, z sali mieszczącej się na jednym końcu miasta do laboratoriów — na drugim. Miałem wówczas możność wypraktykowania wspólnie z kolegami, że przy dobrej woli i pewnej zaprawie fizycznej można pokonać odległość między gimnazjum Staszica a Collegium Matus na końcu ul. Lubartowskiej w ciągu piętnastu minut marszobiegu. To znaczy w ciągu tzw. „kwadransa akademickiego" pomiędzy jednym a drugim wykładem.

Autobusami nikt więc nie jeździł, bo nie było na to czasu, a zresztą żałowalibyśmy pieniędzy na bilety, jako że stypendium na pierwszych latach studiów wynosiło około 270 zł. Poza tym kilkukilometrowa „przechadzka" doskonale wpływała na dotlenienie organizmu po przebywaniu przez kilka godzin w nie przystosowanych do ogromnej liczby słuchaczy ciasnych i dusznych pomieszczeniach. Wreszcie grupowy przemarsz doskonale nadawał się do zabawy zwanej „zaziębieniem łysiny". Polegała ona na tym, że gdy w polu widzenia maszerującego „roku" pojawił się idący z naprzeciwka któryś z profesorów, cała grupa kolejno zdejmowała czapki, w wyniku czego wykładowca, cały czas odkłaniając się, defilował na wietrze lub deszczu, wściekły, z uniesionym kapeluszem.

Zajęcia odbywały się, jak już wspomniałem, w różnych punktach miasta, a najgorzej było dotrzeć na nie mieszkańcom powstającego właśnie miasteczka akademickiego. Kiedy w 1953 r. przyjechałem na studia do Lublina, ośrodek akademicki był już dość dobrze zorganizowany, słynne „posiedzenie na beczkach" w auli Gimnazjum Staszica inaugurujące zajęcia uniwersyteckie w PRL było już i dla nas historią, ale akademickie centrum dopiero powstawało. Na terenie dzisiejszej dzielnicy uniwersyteckiej stały tylko gmachy Fizyki i Chemii oraz bloki mieszkalne A i B, we wznoszonym bloku C mieszkali na parterze i na pierwszym piętrze studenci, gdy ostatnie piętra jeszcze wykańczano.

Cały obszar przed domami akademickimi zamieniał się w czasie deszczu w gliniaste bagno rozjeżdżone kołami ciężarówek przedsiębiorstwa budowlanego, zaś przed starą stołówką — olbrzymim barakiem na przeciwko obecnego Domu Profesora — rozlewała się nigdy nie wysychająca kałuża. Omijało się ją przełażąc przez płot na pole, gdzie stoi dzisiaj Biblioteka. Nic dziwnego, że w o wiele lepszej sytuacji niż mieszkańcy miasteczka akademickiego byli studenci, którzy mieli szczęście dostać przydział do „akademika" w centrum miasta, na drugim piętrze hotelu „Lublinianka", albo do budynku ukrytego obecnie za PDT. Tylko że tam w jednym pomieszczeniu stało dwanaście łóżek.

Wokół „miasteczka akademickiego w budowie" — jak głosiła blaszana tablica stojąca przy ul. Sowińskiego — rozciągały się dzikie tereny. Na miejscu Chatki Żaka wznosiło się niewielkie wzgórze, na którego stokach rosło żyto, a bliżej bloku A wygospodarowano placyk, na którym urządzono boisko do siatkówki — chyba jedyne boisko, jakim dysponował wówczas ośrodek akademicki. Tam, gdzie dzisiaj stoją gmachy Humanistyki, Wielkiej Chemii, Collegium Agrobiologicum i inne, rozciągał się górzysty ugór wykorzystywany często jako zastępczy poligon przez Studium Wojskowe.

I wreszcie — ulica Głęboka dzisiejsza aleja PKWN: obramowana pustymi wzgórzami, na których projektowano dopiero wybudowanie osiedla mieszkaniowego; wybrukowana kocimi łbami boczna droga. Tu gdzieniegdzie stały niewielkie rudery, a na pobliskich polach orali ziemię starzy ludzie w zniszczonych dorożkarskich płaszczach i czapkach. W połowie lat pięćdziesiątych zaczęto na Głębokiej wznosić kompleks budynków klinik weterynaryjnych. Kiedy rozpoczęły się tam zajęcia, wśród studentów weterynarii dużą popularnością cieszyły się gumowe buty z cholewami. Bez nich dotarcie jesienią i wiosną do klinik było prawie niemożliwe.

Nie można twierdzić, że w takich warunkach bujnie kwitło na przykład życie kulturalne. Występy artystyczne odbywały się najczęściej w wypożyczonych szkolnych salach gimnastycznych lub w auli Gimnazjum Staszica, którego znaczna część zajęta była wówczas przez liczne zakłady naukowe. Dużą popularnością cieszyły się „konkursy krasomówcze", organizowane przeważnie w sali im. Marchlewskiego w budynku Prawa przy Placu Litewskim. Ale działały już wówczas dwa zespoły artystyczne, które miały przetrwać próbę czasu i ściśle związać się z historią lubelskiego życia studenckiego: chór mieszany Wydziału Rolnego UMCS (późniejszy chór WSR), prowadzony przez mgr Bogusława Szota, oraz Zespół Taneczny pod kierownictwem mgr Stanisława Leszczyńskiego. Tańczyli i śpiewali o wiele gorzej niż teraz, kiedy „okrzepli", dorobili się bogatych kostiumów, mają na swym koncie wojaże i nagrody zagraniczne, ale chyba też bardziej żywiołowo byli witani na scenie wtedy, gdy przynosili nam kilkadziesiąt minut rozrywki w tamtych nie całkiem jeszcze łatwych latach studenckich. Może to jednak tylko pozorne wrażenie, nie mające pokrycia w rzeczywistości, wynikłe ze spojrzenia wstecz, z rozrzewniającej chwili zadumy nad niby niedawnym, a jednak tak odległym okresem sprzed piętnastu lat...

Listy do KAMENY

„ŚWIĘCI"

Pan Bar w swoim felietonie „Święci" w nr 1 „Kameny" trochę chyba zagalopował się. Argumentując w sprawie zaniechanej audycji telewizyjnej na temat eksperymentów medycyny na zwierzętach, zapomniał uzasadnić ludzi mających odmienne od niego zdanie i nazwał ich „ciemnymi ludźmi". Zapomniał, że dziś nie ma ludzi ciemnych, są tylko tacy, którzy więcej umieją, więcej wiedzą i tacy, którzy mniej umieją i mniej wiedzą, a wszyscy uczą się i chcą się uczyć. Człowiek, który odważa się na wyrażanie swojego sądu o jakiejś sprawie, nie jest człowiekiem ciemnym. Jest natomiast pocieszającym zjawiskiem w naszym życiu społecznym. (...) Przy okazji, w sprawie zaniechanej audycji chciałabym dorzucić swoją uwagę, bez oglądania się na osąd pana Bara. Otóż pan Bar przytacza, że telewizja tę reklamowaną audycję uprzedziła uwagami, iż nie mogą jej oglądać dzieci poniżej lat szesnastu i ludzie o słabych nerwach. Uważam, że w tej uwadze kryje się cały błąd popełniony przez telewizję, który wywołał wokół tak zapowiedzianej audycji cały ten wielki huczek. Taka bowiem uwaga niepotrzebnie sugerowała sensację, chyba większą niż „Kobra", niż „Święty". Było również w niej coś cyrkowego, bo tak jakoś cyrk reklamuje swój program: beczka śmiechu, ściana śmierci, połykacz ognia itp., słowem próba mocnych nerwów, na którą ludzie walą drzwiami i oknami. (...) Prawie wszyscy ludzie nie lubią oglądać trupów, ale kto zna wieś, ten wie, jak gromadnie śpieszą ludzie, szczególnie kobiety i dzieci, na cmentarz w czasie pogrzebu. Nie idą tam, by za zmarłego klepać pacierze, by oddawać mu ostatnią posługę. Idą oglądać zmarłego, bo zachował się zwyczaj otwierania trumny przed spuszczeniem jej do grobu. Pragną zobaczyć, jak wygląda zmarły, jak jest ubrany, jak żegna go rodzina. (...) Telewizja u nas, a nie tylko u nas, rozwija się od paru lat żywiołowo i wskutek tego musiała popełnić wiele błędów, które przy ostatniej dyskusji wyszły na jaw. A jeśli wyszły, trzeba się nimi zająć. Chyba d z i ś, to nie w c z o r a j, kiedy ludzie wszelkie drukowane słowo uważali za świętą prawdę. Mamy dowody, że atmosfera bezkrytycyzmu, bierności, szablonowości wyrządziła wielkie szkody nie tylko w psychice ludzi, ale i w naszej gospodarce. Wystarczy wymienić długą serię obrzydliwych agronomówek, wiele szkół, produkcję wszelkiego rodzaju bubli, których tysiące powstawały tylko dlatego, że nikt nie odważył się powiedzieć „nie".

Stanisław Puch
Trawniki

„MUZEUM ZAMOJSKIEJ TRADYCJI"

Pan Stanisław Michalczuk opublikował w 4 numerze „Kameny" ciekawy artykuł, w którym poinformował m. in., że z okazji II Międzynarodowej Kampanii Muzealnej wydano wielojęzyczny folder, zawierający wykaz wszystkich ważniejszych wystaw krajowych i imprez związanych z Kampanią. Nie uwzględniono jednak Zamościa i znakomitej ekspozycji w jego muzeum! Wydaje się więc, że Muzeum Lubelskie, sprawujące opiekę merytoryczną nad placówkami regionalnymi, popełniło poważny błąd. Chciałbym wiedzieć, a mam chyba do tego prawo, czym kierowała się dyrekcja Muzeum Lubelskiego lekce sobie ważąc perłę polskiego renesansu?

Marian Toporski
PRZEMYŚL

Od redakcji: Pytanie Pana kierujemy do właściwego adresata, czyli do Dyrekcji Muzeum Lubelskiego, albowiem nie znamy przyczyn pominięcia Zamościa w informatorze. Sami jesteśmy ciekawi, jak do tego doszło.

Plany i ambicje białostockiej WSI

(Dokończenie ze str. 10)

staramy się, by zdobywać przynajmniej posiadaczy doktoratów. Władze wojewódzkie i miejskie rozumieją nasze potrzeby i starają się zapewnić tym przybyszom mieszkania, co przecież dla takiego Białegostoku jest dużym wysiłkiem.

— *A czy w opinii mieszkańców miasta istnieje zrozumienie co do konieczności i opłacalności takich świadczeń?*

— Chyba tak. Zresztą miasto i województwo czekają na naszych absolwentów, żaden nie ma kłopotu ze znalezieniem dla siebie odpowiedniej pracy. Spotykałem się nawet z uwagami, że to źle, iż pewien drobny procent naszych słuchaczy pochodzi spoza województwa, a część absolwentów wyjeżdża do innych rejonów kraju. To są oczywiście zarzuty niesłuszne, bo znacznie więcej młodzieży tutejszej kształci się w innych województwach. Jeśli jednak czasem w społeczeństwie pewne zagadnienia naszej uczelni nie znajdują należytego oddźwięku, to być może winniśmy sami. WSI za małą jeszcze odgrywa rolę w życiu społecznym i kulturalnym miasta. W Gliwicach np. istnienie Politechniki czuje się na każdym kroku, co jest zrozumiałe, bo uczelnia tamta liczy 15 tys. studentów. Lecz nasza, choć dziesięć razy mniejsza, ma i w tej dziedzinie ambicje na przyszłość.

Rozmawiał **R. W.**

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Na scenie Teatru im. Al. Węgierki — kolejna premiera. Tym razem „Romeo i Julia" Szekspira. Reżyseria Bronisława Orlicza, scenografia Stanisława Bąkowskiego. W rolach tytułowych występują Barbara Komorowska i Mieczysław Banasik.

● W Hajnówce otwarto wystawę rysunku artysty plastyka Tadeusza Bołoza. Artysta jest od wielu lat związany z tą miejscowością, tutaj mieszkał w okresie okupacji i kierował wówczas szkolnym teatrem amatorskim, dzisiaj sprawuje z ramienia ZPAP patronat plastyczny nad miejscowymi zakładami przemysłowymi.

● Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazała się kolejna książka białostockiego dziennikarza i literata Aleksandra Omiljanowicza — „Harykada". Jest to zbiór opowiadań o tematyce wojennej.

● W Białymstoku odbył się IV Wojewódzki Przegląd Amatorskich Teatrzyków Lalkowych. Wzięło w nim udział kilkanaście zespołów z województwa.

● Staraniem Białostockiego Towarzystwa Naukowego, PWN wydało książkę Zygmunta Kosztyły: „Wrzesień 1939 roku na Białostocczyźnie" ujmującą w sposób kompleksowy zagadnienia związane z przebiegiem kampanii wrześniowej na tych terenach.

KIELCE

● Teatr im. S. Żeromskiego wystąpił z premierą komedii Zdzisława Skowrońskiego — „W czepku urodzona". Reżyserował Andrzej Dobrowolski, scenografia jest dziełem Mariana Gostyńskiego. W głównej roli — Stanisława Urska.

● Rozbudowa i modernizacja obiektów turystycznych na Kielecczyźnie były tematem spotkania przewodniczącego PWRN w Kielcach Antoniego Mierzwińskiego z działaczami zarządu okręgu PTTK. Omawiano m. in. sprawę przyspieszenia prac budowlanych w przebudowywanym obecnie słynnym schronisku na Św. Katarzynie.

● Zespół redakcyjny zakładowej gazety „Głos Załogi" Kieleckich Zakładów Wyrobów Metalowych otrzymał jedną z czterech równorzędnych nagród w konkursie na najlepsze publikacje z zakresu higieny i bezpieczeństwa pracy. Konkurs był ogłoszony przez Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego i Klub Redaktorów Gazet Zakładowych przy SDP, brało w nim udział 17 zespołów redakcyjnych.

● Ośrodek Kultury w Czarnowie prowadzi ożywioną działalność. Odbywają się tutaj spotkania ze znanymi naukowcami, pisarzami, aktorami. Ostatnio zorganizowano w Ośrodku interesującą imprezę z okazji 25-lecia ZWM. W części artystycznej miejscowy teatr zaprezentował program pt. „II wojna światowa w poezji".

● W dniach 6—7 kwietnia odbył się na Kielecczyźnie Świętokrzyski Rajd Samochodowy Dziennikarzy. Kilkudziesięciu jego uczestników, poza emocjami sportowymi, miało możność zapoznania się z dorobkiem Kielecczyzny. Funkcję komandora Rajdu pisałowi naczelny redaktor „Słowa Ludu" dr Marian Skarbek.

LUBLIN

● Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, w Wojewódzkim Domu Kultury na Zamku odbyło się spotkanie partyjnych i administracyjnych władz województwa ze środowiskiem teatralnym. Przybyli na nie m. in. I sekretarz KW PZPR Władysław Kondra, sekretarz propagandy KW PZPR Edward Machocki oraz wicegrzewodniczący PWRN Jan Siewierski. Podczas spotkania aktorzy podjęli rezolucję potępiającą organizatorów i inicjatorów marcowych wydarzeń na wyższych uczelniach w Warszawie i w innych miastach Polski.

● 7 kwietnia w salach BWA otwarto wystawę malarzy białostockich — J. Lengiewicza, S. Rybiego i M. Wołkowyckiego. Ekspozycja obejmuje kilkadziesiąt obrazów olejnych.

● W Dębrecznie na Węgrzech przebywała delegacja Rady Uczelnianej ZSP przy UMCS w Lublinie. Studenci zostali zaproszeni przez Komunistyczny Związek Młodzieży Węgierskiej, w czasie pobytu przedyskutowali z gospodarzami formy studenckiej wymiany pomiędzy UMCS a Uniwersytetem im. L. Kossutha. W tym roku nastąpi wymiana członków studenckich kół naukowych. Zaproszono na Węgry zespoły artystyczne: teatr „Gong-2", Zespół Tańca Ludowego oraz muzyczny zespół „Minstrele".

● W Jakubowicach Końskich w pow. lubelskim zachował się XVI-wieczny dwór obronny mieszczący niegdyś m. in. zbiór ariański. Bez porozumienia się z konserwatorem wojewódzkim przystąpiono do rozbiórki budynku. Oto jeszcze jeden przykład bezmyślnego niszczenia zabytków.

RZESZÓW

● Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej zorganizowano „Otwarte drzwi teatru". Publiczność mogła zwiedzić sceniczne kulisy, obejrzeć wystawy rekwizytów i kostiumów. Inicjatywa pożyteczna i zawsze wzbudzająca wielkie zainteresowanie.

● Mieszkańcy Przemyśla zbierają pieniądze na zakupienie znajdującej się w mieście w rękach prywatnych panoramy „Somosierra" — dzieła Kossaka i Wiewiórkowskiego. Akcja prowadzona jest z myślą o udostępnieniu panoramy szerokiej publiczności i odwiedzającym Przemyśl turystom.

● W rzeszowskim Domu Sztuki otwarta została wystawa malarstwa i grafiki Zygmunta Czyża. Jest to pierwsza indywidualna wystawa artysty, członka tutejszego Okręgu ZPAP. Ekspozycja obejmuje 61 prac.

● Wydziały Kultury i Przemysłu PWRN, WKKFiT oraz Muzeum Okręgowe w Rzeszowie ogłosiły konkurs otwarty na pamiątkę rzeszowską. Nie jest to pierwszy tego rodzaju konkurs, o tyle jednak różni się od poprzednich, że jego plon ma być wykorzystany do wzbogacenia asortymentu wyrobów przeznaczonych dla zaopatrzenia placówek handlowych województwa rzeszowskiego, a nie — jak dotąd — na „eksport" do innych województw.

● W drugiej połowie kwietnia 25-osobowy rzeszowski zespół pieśni i tańca przy WDK wyjedzie na dwutygodniowe występy do Belgii. Rzeszowianami będzie opiekować się polonijny zespół artystyczny „Krakus" z miejscowości Genk-Limbur, który w ubiegłym roku występował na Ziemi Rzeszowskiej.

Familijno-towarzyska encyklopedia Fredrów

(Dokończenie ze str. 7)

mnie nie było; stan ten wywoływał odczuwalny dystans obojga rodziców do swych dzieci. Ojciec pamiętnikarki *nauką się nie troszczył,* nie należało to zresztą do tradycji w rodzinie Fredrów, zadowalając się całkowicie objawianiem się u córki *owego das ewig Weibliche, droższego w oczach jego nad piękność i talenta;* z kolei matka, *natura namiętna, nigdy miary nie znająca, wychowana sama przez matkę do despotyzmu surową, nigdy nie była dzieckiem, a mniej jeszcze szczęśliwym dzieckiem, zawsze bywała jakimś zajęciem zaabsorbowana, w którym interwencja dziecka była co najmniej niepożądana, a jeszcze zacofanego i nieokrzesanego dziecka, jakim ja byłam.* Wskazuje to wszystko na ów osobliwy stosunek arystokracji szlacheckiej do osób niższego stanu — i nawet do własnych dzieci, który był właściwością epoki współczesnej Fredrze, a o którym my dziś nie mamy pojęcia.

Wyraźna oznaka owych niepojętych sprzeczności w konstrukcji psychofizycznej autora „Zemsty" znajduje zresztą następujący wyraz we wspomnieniach córki: *Ojciec do słabości kochał mnie i pieścił, zawsze jednako, od mego urodzenia do śmierci jego. Czułam to zawsze, dziś rozumiem lepiej, i pytam nieraz sama siebie ze smutkiem i wyrzutem sumienia: czemu go się tak bałam?! Bo bałam się szalenie! „Papa się gniewa" — wystarczało, bym głowę ze strachu traciła. Był on do gwałtowności niecierpliwy, jak my wszyscy* (tzn. Fredrowie), *ale najgwałtowniejsza burza była to ostatecznie tylko ulewa z grzmotami i piorunami, i nawet z furami i beczkami diabłów sypiącymi się, ale zawsze krótko trwająca.*

Gniewał się i krzyczał o drobnostki, o które dziś tak samo się gniewam i krzyczę, choć bez beczek diabłów. Wtedy truchlałam, a pomimo to zawsze tak zabawnie łajał, że niepodobna było czasem od śmiechu się wstrzymać — nie łajanemu wszakże. Po kilku sekundach sam z uśmiechem spoglądał po obecnych. Ulewa była ustała... mogłam się była jej nie bać. Ale bałam się, bo się bałam, na to rady nie ma, a najrozumniejsi ludzie tego nie rozumią.

Szeptycka pisze dalej o ojcu jeszcze i to: *Żadnego ukrytego śmiechu, szeptów, drwiących wejrzeń nie znosił;* sam zaś *mawiał, że szczęścia do ludzi nie ma; nieczęstą było to rzeczą śmiech u Ojca, może wówczas łatwiej wszystko na nerwach jego grało* — i jakby dla ilustracji tych stwierdzeń podaje pamiętnikarka dziesiątki obrazowych przykładów niepojętych „splinów" i chimer Fredry, które ze szczególną wyrazistością wyładowywały się zwłaszcza w trakcie posiłków; nie należało np. do odosobnionych wypadków, że nie smakujące mu danie trafiało wraz z talerzem w kucharza poczciwotę; Aleksander Fredro był *wymagający co do kuchni i służby,* komentuje te zdarzenia córka w swych „Wspomnieniach z lat ubiegłych". Zrzędliwość, despotyzm i atmosferę lęku wokół siebie wzmagały u Fredry z latami dolegliwości wywołane atakami podagry. Toteż w pierwszych latach XX wieku, pisząc swój pamiętnik, Zofia z Fredrów Szeptycka z ulgą zdobędzie się na okrzyk: *Och, Boże, te bóle, te lęki dzieci i zwierząt, kto kiedy ich głębię i siłę zmierzył!*

Celem, jaki postawiła sobie autorka wspomnień, i jaki przy różnych okazjach w tekście podkreśla, było utrwalić i przekazać potomkom pamięć osób, które odeszły z tego świata; napisze o tym wprost: *Snują się, snują obrazy... Witam się z nimi jak z kątami domu, którego mieszkańcy, drogie z codziennego ongi życia postacie, wszyscy wymarli;* toteż sama autorka określi swoje wspomnienia mianem *skarbczyka wspomnień* i doda na usprawiedliwienie siebie: *Za mało przebieram i w tych wspomnieniach (...) nie znajduję już w sobie zwykłej surowości sądu, nawet sprawiedliwego nie znajduję: w s z y s t k o mi się wydaje miłe, słodkie, cenne.* A wydawca Bogdan Zakrzewski, sprowadzając do właściwych rozmiarów wartość poznawczą jej wspomnień, napisze we wstępie: *W gawędzie tej czytelnik znachodzi aż nadto pietyzmu autorki, który deformuje nieraz klimat przywołanych zdarzeń, sylwetki duchowe ożywionych postaci czy rekonstruowane przeżycia dziewczęce,* ale bez wahania przyzna księdze wspomnień Szeptyckiej tytuł *encyklopedii familijno-towarzyskiej.*

Toteż sumując wnioski tyczące tej księgi napisze: *Jaką przydatność dla fredrologów mają „Wspomnienia" Szeptyckiej? (...) ich cena w tym względzie polega na autentycznym, szczegółowym i bardzo stylowym odtworzeniu najbliższego kręgu rodzinnego oraz dalszego, towarzyskiego, Aleksandra Fredry. Z kolei — na sporej ilości nowych, rewelacyjnych nieraz realiów, cennych dla biografii Fredry, pojmowanej szerzej, na tle jego otoczenia i czasów, realiów przybliżających znacznie jego osobowość. Dopiero w dalszej perspektywie — na ciekawych przyczynkach do genezy twórczości literackiej kilku utworów wielkiego komediopisarza.* Ważna jest przy tym również dalsza informacja wydawcy, że „Wspomnienia" Szeptyckiej stanowią część pierwszą „Materiałów i źródeł do życia i twórczości A. Fredry"; jako część drugą tej serii zapowiada Zakrzewski szczególnie ponoć cenne dla fredrologii wyciągi z korespondencji Zofii z Fredrów Szeptyckiej.

Zapewne, „Wspomnienia z lat ubiegłych" nie dają pełnej i zadowalającej odpowiedzi na pytania Stanisława Pigonia, przywołane na początku tego szkicu. Wszelako gdzieś także w sferze tradycji rodzinnej Fredrów, w obyczajowości ich klasy społecznej oraz w przypadkach historycznych czasów, na które wypadło życie Aleksandra Fredry, znajdują się niewątpliwie dane do udzielenia takiej odpowiedzi. Toteż wydaje mi się, iż Bogdan Zakrzewski, jako badacz i wydawca materiałów z tradycji rodzinnej Aleksandra Fredry, jest bodaj najbardziej upoważniony obecnie do podjęcia próby sformułowania pełniejszej interpretacji kwestii, wysuniętych w cytowanym na wstępie pięknym eseju historyczno-literackim Stanisława Pigonia.

Feliks Fornalczyk

Zofia z Fredrów Szeptycka: „Wspomnienia z lat ubiegłych". Przygotował do druku, wstępem i przypisami opatrzył Bogdan Zakrzewski. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich. Wrocław 1967, str. 391, 1 nlb.

Ludzie ze Skopje

(Dokończenie ze str. 8)

kieszeni podatników je dofinansowywało, bo były nierentowne. Dziś każdy obywatel i każdy zakład pracy musi zarobić na siebie".

* * *

Pijemy kawę w motelu. Trzy duże sale restauracyjne, pokoje noclegowe. Pytam: „Czy to prywatne, czy państwowe?". Rozmówca śmieje się: „To nasze! O budowie tego motelu i jego eksploatacji decyduje miejscowy samorząd. Państwo ciągnie z tego tylko część zysków przez podatki. A turystyka u nas jest całym wielkim przemysłem. Bardzo rentownym".

* * *

Jem śniadanie z... najpierw nie mogę się zorientować, nie mogę zrozumieć, jakie ma zajęcie. Jest agentem fabryki konfekcji i jeździ po całej Jugosławii oferując sklepom towar. Jest więc tym, co w kapitalizmie nazywa się komiwojażerem. Ile zarabia? 950 ND stałej gaży. Ale teraz nastąpi zmiana: będzie miał tylko procent od sprzedanych materiałów. Zarobić może i więcej, ale może też nie zarobić nic. Zadecyduje tylko osobista praca, spryt, szczęście. Większa swoboda działania. I większe zagrożenie.

* * *

Częsty temat rozmów: ustawa o rotacji. Uchwalona jakiś czas temu przewiduje, że wszystkie funkcje państwowe, społeczne, stanowiska kierownicze i urzędy, obieralne czy obejmowane w drodze konkursu — jeden człowiek może sprawować cztery lata, potem, ewentualnie, może powtórzyć kadencję jeszcze raz. Jeden jedyny wyjątek ustawa przewidziała dla Józefa Broz Tito, który, ze względu na swoje szczególne zasługi, może dożywotnio sprawować urząd prezydenta. Moi rozmówcy krytykowali jednak wewnętrzną sprzeczność: bo z jednej strony ustawa o rotacji lansuje fachowców, specjalistów, zdrową rywalizację zawodową, a z drugiej strony godzi w zawiązywanie się dobrych tradycji, godzi właśnie w fachowców i ludzi doświadczonych.

* * *

„Konkursy". Na każde stanowisko kierownicze (nie obieralne) organizuje się konkurs. Oto np. teatrowi potrzebny jest dyrektor. Władze miejskie rozpisują w prasie konkurs — jawny i publiczny: potrzebujemy dyrektora dla teatru o takim i takim planie widowisk, takim i takim profilu repertuarowym, takiej liczbie zespołu, takim budynku. Zgłaszają się kandydaci. Specjalnie powołana komisja wybiera jednego. Teoretycznie najlepszego. I tak jest często w praktyce. Ale także praktyka wykazuje, że ludzie na stanowiskach kierowniczych żyją w stanie ciągłej kampanii wyborczej... Starają się zaskarbiać względy członków komisji, pracują tylko na pokaz.

A jednak nowi, młodzi, zdolni ludzie idą w górę, obejmują poważne stanowiska, biorą odpowiedzialność za kraj, za swoją dziedzinę wiedzy, swoją specjalność. Oto młody dziennikarz, poznałem go właśnie, gdy przenosił się ze Skopje do Belgradu. Przed miesiącem wygrał konkurs na stanowisko kierownika działu w jednej ze stołecznych gazet. Napisał najlepiej zadane „wypracowanie", był najlepszy spośród 200 kandydatów, którzy ubiegali się o to miejsce.

* * *

Są to tylko migawki. Choć o Macedonii i o całej Jugosławii wiem znacznie więcej niż przed przyjazdem tutaj — wiem przecież ciągle za mało. Może nawet mylę pewne fakty, może cytuję nieściśle. Przepraszam moich przyjaciół ze Skopje, jeśli zrozumiałem coś inaczej niż jest. Niech mi wybaczą i niech wiedzą, że to, co piszę o nich, jest oparte na fundamencie szczerej sympatii, podziwu i przyjaźni, jakie żywię dla nich. Jest to mój głęboki pokłon i podziękowanie za serdeczność i życzliwość, jaką obdarzano mnie na każdym kroku w tym pięknym mieście. W tym pięknym i starożytnym kraju. Cieszę się, że choć byłem z Wami przez czas krótki, to jednak nie od święta, nie jako turysta, ale że mogłem wśród Was pracować. Dzięki temu widzieć Was na co dzień. Przy Waszej pracy. Wy sami i Wasza praca były dla mnie najciekawsze. Dlatego nie piszę o przepięknych zabytkach starej kultury macedońskiej, jednej z kolebek kultury euuropejskiej, o krajobrazach, o historii. Pochodzimy z jednego słowiańskiego pnia. Mówimy podobnymi językami. Ale najważniejsze wydaje mi się to, że dziś, na płaszczyźnie współczesnego życia, wspólnej pracy, zainteresowań, poszukiwań i dążeń — możemy spotkać się, poznać, odczuwać dla siebie szacunek. I przyjaźnić się.

Kazimierz Braun

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 1088. 27.III.68. C-4.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Urzędnicy

NIEDAWNO „Gazeta Białostocka" doniosła, że jeden z sądów powiatowych będzie miał do rozstrzygnięcia niezwykłą sprawę cywilną.

Oto przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej miasta, którego nazwy „Gazeta" nie podała, idąc do swego biura pośliznął się na oblodzonym chodniku i złamał nogę. W rezultacie znalazł się w szpitalu z nogą w gipsie. Miasto nie należy do takich, gdzie dba się o chodniki i ulice. Mieszkańcy myśleli więc, że wypadek przewodniczącego MRN odepnguje podległe mu przedsiębiorstwa do solidniejszego oczyszczania ulic. Stało się jednak inaczej. Ulice po staremu są nieuprzątnięte, natomiast przewodniczący wystąpił do miejscowego Sądu Powiatowego z powództwem cywilnym przeciwko... Prezydium MRN, a więc w praktyce przeciwko sobie samemu, domagając się odszkodowania za skutki wypadku, jakiemu uległ w czasie wędrówki do swego biura.

„Gazeta" pisze na marginesie tego, że zanosi się na ciekawy proces, który przejdzie zapewne do historii naszego sądownictwa. Intrygujące jest zwłaszcza pytanie: kto reprezentować będzie w sądzie interesy strony pozwanej, czyli Prezydium MRN i ośmieli się wystąpić na sali sądowej przeciwko ojcu miasta, a jednocześnie swojemu przełożonemu?

Ile razy słyszę o jakimś biurokratycznym wyczynie, zawsze przypomina mi się klasyczna w swej prostocie historia, jakiej byłem świadkiem przed kilkunastu laty.

Pewien przewodniczący rady narodowej dużego miasta, nazwijmy go przewodniczącym XY, pełnił jednocześnie odpowiedzialną funkcję w nie mniej odpowiedzialnej organizacji społecznej. Z racji tej funkcji przewodniczący XY dyżurował od czasu do czasu w lokalu organizacji i przyjmował skargi oraz prośby ludności. Pewnego dnia zjawiła się w jego pokoju niemłoda już kobieta, która znalazła się w rozpaczliwej sytuacji mieszkaniowej. Nasz działacz przyjął ją niezwykle serdecznie, wysłuchał prośby, zanotował dane i przyrzekł, że zrobi wszystko, aby nieszczęśliwa uzyskała jakieś mieszkanie.

Istotnie, po wyjściu petentki przewodniczący XY, w tym wypadku aktywista organizacji społecznej, wezwał sekretarkę i podyktował jej następujący list:

„Do ob. XY. Przewodniczącego Prezydium MRN w/m. Uprzejmie proszę o pozytywne załatwienie przydziału 2-pokojowego mieszkania dla ob..., która znajduje się w opłakanych warunkach na skutek..." Podpisano: Działacz organizacji, XY.

Nazajutrz działacz XY przyszedł do swego biura w prezydium MRN i rozpoczął, już jako przewodniczący rady swoją państwowotwórczą działalność. Wezwał sekretarkę z pocztą. Przewodniczący otworzył pierwszy z brzegu list. „Do ob. XY. Przewodniczącego Prezydium MRN w/m. Uprzejmie proszę o pozytywne załatwienie przydziału 2-pokojowego..."

Czytający spojrzał na swój podpis i zmarszczył brwi. — Poważna sprawa — westchnął ciężko. — Poważna. Po czym wezwał sekretarkę i podyktował jej następujący list:

„Do ob. XY, działacza odpowiedzialnej organizacji. W związku z Waszym pismem wyjaśniam uprzejmie, że tutejsze prezydium nie dysponuje żadnym wolnym lokalem i musi na Waszą prośbę odpowiedzieć odmownie".

Za dwa dni naszemu bohaterowi znowu wypadł dyżur w bardzo ważnej organizacji. Na biurku czekała już poczta: list od przewodniczącego prezydium MRN. Działacz otworzył kopertę, rozwinął arkusz, spojrzał z zadowoleniem na swój podpis i zanotował na boku: „przekazać petentce, sprawa została załatwiona zgodnie z obowiązującymi przepisami".

Ta mrożkowska historia, jak najbardziej autentyczna, zdarzyła się kilkanaście lat temu. Ale jakie często powtarza się ona w naszym życiu, odradza się gdzieś w Białymstoku, czy Opolu. Czasem chodzi o mieszkanie, kiedy indziej o nie posypany piaskiem chodnik.

Ostatnio historia odżyła w Warszawie. Ojciec córeczki, która od lat brała udział w antysocjalistycznej działalności, zaprotestował przeciwko obciążaniu go odpowiedzialnością za wychowanie swej latorośli motywując to następująco: ci córeczka jest już dorosła, bo ma swoje własne mieszkanie, ci sama się utrzymuje. Zapominał tylko dodać, że jeszcze przed uzyskaniem pełnoletności dziewczyna wchodziła w kolizję z prawem, co skutecznie tuszował ustosunkowany ojciec, że to „własne" mieszkanie on jej sprezentował, mimo że nie miała do niego prawa, i że na to jej „własne" utrzymanie on systematycznie łożył, ponieważ dziewczyna nie zarobiła w życiu jeszcze ani jednego grosza.

Historia odżywa coraz częściej. Do redakcji pewnej warszawskiej gazety przyszła matka jednego z prowodyrów zajść na Uniwersytecie Warszawskim i zaprotestowała przeciwko oskarżaniu syna o antysocjalistyczne wystąpienia. Jego ojcem był wysoki urzędnik Ministerstwa Finansów. Synalek postanowił podobno zaprotestować przeciwko wygodnictwu własnego ojca. Dodajmy, że przed wyjściem z domu na antyojcowską manifestację synalek został czule przez swego ojca pożegnany i ostrzeżony przed możliwością przeziębienia się na nielegalnym wiecu. Grunt to rodzinka.

Wobec takich historii blednie wyczyn działacza, który załatwiał przydział mieszkania, lub przewodniczącego, skarżącego siebie o złamanie sobie nogi.

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Gra w sztony

WŁAŚCIWIE rzecz się nadaje na warsztat językoznawcy, ale skoro tam nigdy nie trafiła, nie wincie felietonisty. Można zarzucić żabie, że nadstawia nogę, kiedy konia kują, ale nie można, kiedy nie kują, a powinni. Bo może to nadstawienie nogi wywoła ospałego kowala i spowoduje podkucie już właściwego osobnika?

Nie snuję paraboli dalej, ponieważ Malcharkowi ze „Współczesności" dowcipu wprawdzie nie brakuje, ale często brakuje okazji do jego ujawnienia, stąd ją sobie sam fabrykuje. Niech dla „Wykrzykników" poci się gdzie indziej, a my udajmy się w swą stronę prowokowania filologów.

Słownictwo krytyki literackiej — zajęcia jak najbliższego precyzji i analizie — wykazuje zdumiewającą predylekcję do pewnych określeń, których użycie wywodzi się, jeśli nie z anty-, to w najlepszym razie z parainteleklualnego stosunku do omawianego przedmiotu. Nagminnie. Kiedy się czyta tekst traktujący o zjawisku literackim (obojętny rozmiar tekstu i zjawiska) niemal głowę można kłaść, że doczytamy się w końcu do „mitu". Mało. Że ów „mit" zawrze radosne olśnienie autora, jakąś porywającą go „eurekę", zawierającą esencję niebywałego odkrycia. „Mit" to górne C każdej arii krytycznej, zwieńczenie i uwieńczenie myślowych konstrukcji. Niemal słyszy się po nim „uff" znamionujące zarówno odprężenie po wysiłku, jak i satysfakcję z dokonanego dzieła. Za każdym razem tak rozczulająco wyjątkową i liczoną na rachunek „wynalazcy", jakkolwiek by było to jedno z najbardziej obiegowych słówek języka krytycznoliterackiego jeszcze w międzywojennym dwudziestoleciu.

Owszem, sam termin ma swój wiadomy desygnat i nie proponuje się go niniejszym w index verborum prohibitorum, ale dziwne, że żaden z jego tak częstych użytkowników nie słyszy w nim echa obtłuczonego już po wszystkich szkicach, recenzjach i esejach, że tak niezmordowanie podtrzymuje tę „kaczkę" idącą poślizgiem po powierzchni mniejszych i większych wód naszej krytyki. Skutek? Wrażenie, że czyta się papier, w dodatku papier wyszły spod powielacza, a nie myśl obrazującą omawiane zjawisko literackie we własnym, nie ukradzionym widzeniu omawiającego.

Byłby tu niepocieszony „mit", gdyby nie znalazł się w godnym siebie towarzystwie „propozycji". Również i bez niej nie obejdzie się słownik dzisiejszego krytyka. Cóż za sposobne, celne, a w dodatku dystyngowane słówko! Dowodzić czegoś? Walczyć o coś? Wykluczone. Tylko propozycja. O ileż w ten sposób zwiększa się szansa u „inteligentnego" czytelnika, który awansowany w ten sposób do rangi „partnera" na pewno odwdzięczy się większą przychylnością dla anemicznych tez. I tak wędruje ta „propozycja" po wszystkich krytycznych szpaltach — z jakimże smakiem, a przy tym jak dyskretnie i skromnie, z prawdziwą elegancją ubrana dama. Kiedyś, kiedyś — złośliwość niżej podpisanego pamięta — zdarzyło się nawet, że Włodzimierz Maciąg cykl swoich krytycznych artykułów w „Życiu Literackim" zatytułował „W poszukiwaniu propozycji". Jak nazwiemy stan rzeczy, w którym krytyk przyznaje, że propozycji nie ma, mimo to nie waha się przed wprawieniem w ruch swego pióra? (Nawiasem trzeba tu wspomnieć również, że i tytuł esejów samego Kazimierza Wyki „Łowy na kryteria" również zawiera ową osobliwość. Można nie mieć pewności odnośnie przyjęcia u czytelnika, wartości badanych utworów, ba — zupełności i wystarczalności własnego sądu, ale kryterium to chyba pierwsza rzecz wszelkiej działalności krytycznej. Poza tym wynik łowów zależny jest co najmniej w tym samym stopniu od zabiegów myśliwego, co od istniejącego zwierzostanu: czy więc podkreśla się tu przypadkowość rezultatu? A jeszcze: skoro nie ma się kryteriów — co filuternie sugeruje tytuł — na jakiej podstawie przyjąć to co będzie złowione?). Zdarza się też, że na skutek wymienionej tendencji do szukania terminu-minimum, który by przez swą skromność wszystkich zadowolił, „propozycjami" nazywa się — co jest widoczne przede wszystkim w poezji — same utwory. I tu papierowe słownictwo dochodzi do absurdu. Owszem, zbiór wierszy można i należy uznać za propozycję jakiegoś widzenia świata, ale w trybie stosowanego żargonu stawiać znak równania między dziełem a propozycją — bo tak się to „kulturalnie" czyni — to narazić się na to, że — konsekwentnie — „propozycjami" trzeba będzie nazwać „Boską komedię", „Kwiaty zła", czy „Sezon w piekle".

Nie zapomnijmy i o sakramentalnej „formule". „Formuła losu ludzkiego, jaką prezentuje Graham Green", „i tu dochodzimy do formuły moralnego konfliktu", „nie zgadzało się to z wyidealizowaną formułą jej miłości"... To jeszcze nie cytaty, ale cudzysłowy można postawić na zapas, bo niewykluczone, że na skutek inwazji „formuły" znajdzie ona miejsce w powyższych zwrotach. Trudno zrozumieć, z jakich powodów krytyk zakładając — podobno — rozliczanie utworu w swoich własnych kategoriach filozoficznych posługuje się słówkiem-liczmanem, słówkiem-sztonem liczącym się przecież na rachunek domu gry.

Całe szczęście, że zaczyna trochę zanikać „zbitka", aczkolwiek i ona cieszy się jeszcze tym wyróżniającym spojrzeniem, które widzi ją w szacownym blasku nadzwyczaj inteligentnego słówka. „Zbitka" to też ten „wyższy register" słownictwa krytyki. Możliwe, że same teksty nie dają sposobności do jego używania, bo trudno uwierzyć, by wnikliwi ich badacze tak łatwo zrezygnowali z osiągniętej zdobyczy. W każdym razie „zbitka" jakoś się rozpływa. Oby się jeszcze ukategoryzowała „propozycja" i ucieleśnił „mit".

Ijon

BIG-BEAT

Czas przemyśleń

PANIE Redaktorze! W tym roku, jak zauważyłem, „Kamena" zrezygnowała z rubryki „Przegląd prasy". No cóż — cykl produkcyjny pisma drukowanego na płaskich maszynach jest przerażająco długi i przypominanie o tym, co pisała „Polityka", „Kultura" czy „Życie Literackie" trzy tygodnie temu, rzeczywiście stanowiło przysłowiową musztardę po obiedzie. Sądzę jednak, że nie powinno być reguły bez wyjątku, tym bardziej, gdy trafiają się problemy, nad którymi nie można przejść do porządku dziennego.

Tym razem niech Pan Redaktor nie oczekuje od mnie kolejnej porcji bardziej czy mniej złośliwych uwag. Ostatnie tygodnie nie nastrajają do wygłupów, chociaż takowych i w Lublinie nie brakowało. Przeżyliśmy lekcję demagogii, demokracji na opak, zbytniej nerwowości jednych i nadmiernego spokoju drugich. Cały czas mam na myśli moich kochanych kolegów studentów. Dla wielu spośród nich pośpiech był złym doradcą. Nie chciałbym jednak ani ich zbytnio ganić ani też zbyt rozgrzeszać. Przyjdzie czas na wnikliwe przemyślenia i konkretne wnioski. Można będzie spokojniej spojrzeć na marcowe dni, bez zacietrzewienia i burzliwych wieców oddzielić ziarno od plewy, bez pieniactwa, ale i bez drętwej mowy ocenić ten najgorętszy z tygodni.

Miesięcznik „Student" wychodzący w Krakowie, pismo, któremu raz przypiąłem solidne łatki, tym razem szybko zareagował na to, co działo się w podwawelskim grodzie, nie szczędząc zresztą gorzkich uwag. Redakcja podkreśla więc, że w pracy politycznej na wyższych uczelniach nie ustrzegliśmy się ogólnikowości i schematów. W najtrudniejszym momencie studenci okazali się niezdolni do samodzielnego myślenia. Studenci — stwierdza pismo — zawsze byli spragnieni szczerej i otwartej dyskusji o sprawach nawet bardzo trudnych i złożonych. Ale to pragnienie czynnego myślowo uczestnictwa w zjawiskach życia politycznego było często niedoceniane przez organizacje działające na wyższych uczelniach. Nie zadbano dostatecznie o właściwe ukierunkowanie zmagazynowanych zasobów energii i pędu do udziału w życiu społecznym. Zostały one skierowane w niewłaściwe koryto. Jest to gorzka prawda, którą musimy sobie dziś otwarcie powiedzieć, aby móc wyciągnąć właściwe wnioski na przyszłość.

Redakcja „Studenta" ostro, i to dobrze, stawia sprawę. Pisząc o wydarzeniach marcowych podkreśla, że należy zdecydowanie oddzielić to, co zostało z całą premedytacją wkalkulowane do politycznej gry, od szczerego i bezinteresownego zaangażowania studentów zdezorientowanych w zaistniałej sytuacji.

Powiedzmy sobie szczerze — stwierdza pismo — *żeby uniknąć pomyłek i dać odpór nieodpowiedzialnym podszeptom, trzeba się umieć bronić. Polityczne przygotowanie do takiej konfrontacji okazało się niezadowalające. Kto temu winien? Pytanie może należałoby sformułować inaczej: kto tu nie jest winien? Od odpowiedzialności za ów stan rzeczy nie mogą być zwolnione ani wyższe uczelnie i ich pracownicy — kadra naukowo-dydaktyczna, ani organizacje polityczne, młodzieżowe i społeczne, działające na wyższych uczelniach, ani wreszcie środki masowego przekazu — radio, prasa, telewizja. Fakt ten dostrzegliśmy dopiero podczas owych niełatwych dni, kiedy przyszło wyjaśniać, zapobiegać, przekonywać. Wtedy okazało się, że ci, którzy wyjaśniali, byli poprzednio raczej sporadycznymi gośćmi w domach studenckich i klubach, że to, co mówili do wzburzonego tłumu, mogło być powiedziane o wiele wcześniej, kiedy był czas na spokojną i rzeczową rozmowę.*

Sądzę, że to, o czym pisze „Student", jest aktualne i dla środowiska lubelskiego. I ZMS i ZMW podają imponujące liczby członków tych organizacji młodzieżowych na wyższych uczelniach. Trochę się obawiam, że patrząc na liczby nie widzą ludzi. Sprawozdania wyglądają pięknie, papier jest cierpliwy. Ale w trudnych godzinach naporu chwytliwej demagogii, w atmosferze gorączkowego podniecenia magia liczb zawodzi, dęty frazes nie chwyta. Liczą się fakty, rzeczowa argumentacja, liczy się spokój.

Nadszedł czas przemyśleń. Organizacjom młodzieżowym wiele pomoże partia, działaczom młodzieżowym — działacze partyjni pamiętający jeszcze czasy ZWM-owskie, kiedy to wielokrotnie dochodziło do bezpośrednich konfrontacji. A wówczas przecież trudniej było być za niż przeciw. Wówczas wiele rzeczy trzeba było przyjmować na wiarę.

XXV-lecie ZWM to dobra okazja do przypomnienia doświadczeń z tamtego okresu. Oczywiście nie po to, aby je mechanicznie naśladować, ale po to, aby przywrócić żar wypowiadanym słowem, oczyścić je z wytartych sloganów. Bo slogan, uparte trzymanie się dogmatów, niewyciąganie wniosków z doświadczeń zarówno lat jak i tygodni szkodzą sprawie najdroższej Polsce.

Jacek

Odpowiedzi redakcji

M. K. w Poznaniu. „Piszę już od czterech lat — stwierdza Pan w liście do redakcji — i sądzę, że już nadszedł czas wielkich zmagań i prób. Jestem przekonany, że nie będzie łatwo uzyskać tę satysfakcję. Ale będę wierny przysłowiu „Per aspera ad astra"... W przyszłości pragnę poświęcić się literaturze i mowie ojczystej. Jestem przekonany, że utwory moje pomogą mi wiele". Wiara, podobno, może zdziałać cuda. Jeśli Pan poważnie zamierza poświęcić się mowie ojczystej, radzilibyśmy zacząć od ortografii. Ta „chałaśliwa ulica" bardzo nam się nie podobała. Utwory Pana więcej niż przeciętne. Poczta redakcyjna pęcznieje i gdybyśmy kiedyś zdecydowali się na druk wiersza Pana lub niektórych Pańskich kolegów „po piórze" korekta z powodzeniem mogłaby pomylić nazwiska autorów. Ba — sami autorzy byliby przekonani, że prostować nie trzeba! Pozdrawiamy.

T. R. w Warszawie. Przesyła Pan swoje najnowsze utwory „z nadzieją na przychylne przyjęcie". Przyjmujemy więc do druku utwór o charakterystycznym tytule „Po co". „Tępe krople spadają / raz, dwa, trzy, raz... / kamienny walc tretuaru / miesza ludzi / Blues szarpie mgłą / łączy się z bossa nova / dzwoni promieniem o metal / miesza ludzi. / Rytm tętniący istnienie / i po co /po to by mieszać ludzi?" Gdybyśmy byli złośliwi, zapytalibyśmy: po co i dla kogo pisze Pan takie wiersze?

J. B. w Wodzisławiu. Stwierdza Pan, że drukował pan „coś nie coś" w czasach studenckich. Cóż, czasy się zmieniły. Nadesłany utwór rzeczywiście jest aktualny, napisany prosto i zrozumiale. Dodalibyśmy — słusznie politycznie. Tragedia polega jednak na tym, że nie powiedział Pan niczego nowego. Moglibyśmy przytoczyć dziesiątki utworów z lat 1949—1956 jak kropla wody podobnych do tego, który wyszedł spod Pańskiego pióra. Tylko zamiast Wietnamu była mowa o... Korei. Najwidoczniej nie śledzi Pan współczesnej poezji.

„A. W. — student UW". Może nadeśle nam Pan większy wybór swoich utworów? Spróbujemy coś wybrać do druku, ale jeśli nie damy rady, [illegible] się na nas nie gniewać.

„Początkujący poeta". Pana utwór dr[illegible] odnosząc się do nowości ortograficznych. Jeśli istotnie jest Pan studentem, uważamy, iż owe błędy celowo upiększają wiersz. „Spotykamy się wieczorami, / Trzymamy się za ręce / Błądzimy ciemnymi ulicami / Jak dzieci, jak w piosence. / Dianas to właśnie dzisiaj / Niebo stroi się w swe gwiazdy / Dianas to właśnie wieczór ma urok każdy! / Objęci w pół, całując się co krok / Niewidząc nic w około / Wchłaniani przez wieczorny mrok / Wpadamy w błędne koło. / I zaczynamy snuć marzenia / Dom, małżeństwo, dzieci. / Lecz zaraz to wszystko pryska. / Jak bańka mydlana zbyt mocno dmuchnięta / I zaraz wchodzimy w rzeczywistość / Za co to wszystko? Za „stypę" studenta?"

S. Z. w Rzeszowie. Chcielibyśmy zachęcić Pana do dalszej pracy. „Pokój, w którym mieszkam" ma niezłe skojarzenia, ale również wybiakłe metafory. Wiersz można i kilkanaście razy przerabiać zanim zdecyduje się go wysłać do oceny. Prosimy oderwać się po pewnym czasie.

S. J. B. w Wyszogrodzie. Spośród utworów, które nam Pan nadesłał, żaden w całości nie nadaje się jeszcze do druku. Radzilibyśmy pomyśleć nad koncepcją utworu „Mów do mnie". Dwie pierwsze zwrotki bardzo się nam podobają, ale trzecia / „mów do mnie / ciebo / by nie spłoszyć / radości / naszych dni" / to banal. Niech Pan napisze kilka słów o sobie.

E. B. k. Białej Podlaskiej. Niestety, utwory nie mają żadnej wartości poetyckiej, a z satyrycznego wierszyka „Kowal" nawet nie można się pośmiać. Szkoda!

A. M. w Białymstoku. Pyta Pan redakcję: „Kamena", chcę wiedzieć, czy warto marnować papier, czy bardziej się opłaci chronić nasze lasy". Jesteśmy brutalnie szczerzy: lepiej chronić nasze lasy. Jeśli Pan z tej rady skorzysta, niewiele to jednak pomoże lasom, bo ludzie, jeśli chodzi o pisanie wierszy, tak łatwo nie kapitulują!

B. S. w Lublinie. Stwierdza Pan: Piszę bardzo rzadko, za to częściej kontempluję, by potem, gdy pomysły dojrzeją, przelać je na papier. W ten sposób w umyśle noszę gotowe tomiki najprzedniejszej poezji". Sądząc po nadesłanym utworze, musi być z Pana dobry dowcipniś.

H. W. w Lublinie. Przeczytaliśmy pierwszą zwrotkę: „Kocham ja ciebie / Jak ptak swobodę / Gdy Ciebie nie ma / To z żalu mrę" i mieliśmy już dosyć dalszej lektury.

F. C. w Rzeszowie. Pana wiersze dorównują frasunkom / „Gdybym wiedzieć mógł, kobieto / że ty też odpowiedz veto" / „Oszczędza złotówki, a wydaje stówki". / Nie, nie, nie!

Roman Wiśniewski

Z lasu zielonego

I oto skończył się dzień... Piszę przy świetle świętojańskich robaczków (Lampyris noctiluca).

Nie wierz kiepsydrom: wcale nie zamieniłem się w płowego motyla.

Wprawdzie zamieszkałem w dziupli, ale tylko do pierwszych chłodów. Tu nie da się zainstalować ogrzewania, a ja, gdy marznę, mam smutne sny. Więc już niedługo wrócę do dawnego mieszkania. — Niestety... A wolałbym tu zostać na zawsze. Tu łatwiej oddychać, bo drzewa nie nakładają na swe twarze obłudnych masek, a zwierzęta nigdy nie są zakłamane ani podłe, czasem tylko brutalne, ale przecież tak bardzo naturalnie.

Ludzie są śmieszni: wczoraj nad tym lasem samoloty rozsiewały jakieś środki trujące, a ja nie mam pcheł i w ogóle nikt od tego nie zginął, tylko mrówki dostały rozwolnienia i po wyzdrowieniu będą musiały odpracowywać nocami.

Czy świat nie przypomina ci czasem strzelnicy z odpustu? Wszyscy tak bardzo lubią postrzelać, choćby do blaszanych krasnali.

Właśnie przed tygodniem zjawili się tu myśliwi. Bawi mnie taki jeden z drugim. Pajace chętnie widzący się w roli bohaterów, mający nawet odwagę strzelać do uciekających zajęcy.

Tutejsze stworzenia śmiały się z ich przyjazdu, bo wiedziały, że cały dowcip polega na hałasowaniu. Ja jednak miałem dość tej pukaniny i z najwyższego drzewa obserwowałem jednego myśliwego, który na co dzień pisze krytyka teatralną. Biedaczysko chyba przypomniał sobie anegdotę o niefyjającym już aktorze, który nocą pod krakowskim Barbakanem wygrał kiedyś zaimprowizowane zawody w siusianiu w stronę nieba i widocznie przerażony tym wspomnieniem raz na zawsze, wrzasnął głosem zgsowym: DUCH, czym narobił takiej paniki, że wszyscy strzelcy pierzchnęli z boru w popłochu. Niektórzy nawet pogubili naboje.

Teraz jest spokój, tylko ten epizod urósł do takich rozmiarów, że ma tu przybyć pod silną eskortą milicji i ormowców ksiądz, aby wyświęcić zabłąkaną duszę.

W lesie zapanowało podniecenie, jak przed ecipskim zaćmieniem słońca. Zwierzęta cieszą się na to widowisko, a sowa ma wygłosić odczyt o obyczajach ludzi.

Ale to takie leśne ploteczki...

Wszystko tu żyje przygotowaniami do pożegnania wiosny. Myślę, że przyjedziesz, bo ta uroczystość będzie zupełnie inna od świąt wymyślonych przez ludzi.

Zbudowałem dla cienie werandę na rozłożystym dębie. Przygotowałem podarek: czerwone korale jarzębiny.

NOTY i notki

DOTYCHCZAS BYŁEM ZANIEPOKOJONY, że w naszym resorcie budownictwa obowiązuje około 1200 aktów prawnych, które powstały w okresie 23 lat. Ale pocieszyłem się po lekturze nr 13 tygodnika „Za i Przeciw". Jak wynika z notki na str. 6, w Rzymie ukazała się publikacja „Działalność Stolicy Apostolskiej w roku 1967", która „zawiera wszystkie jego (papieża — przyp. red.) akty o charakterze jurysdykcyjnym, jak też oświadczenia"... Te akty i obowiązujące przecież w kościele oświadczenia zajmują aż 1680 stron druku. I chodzi tylko o jeden (!) rok.

DWOCH PRZERAŻAJĄCYCH RZECZY dowiedziałem się z książki Mariana Czernera „Latarnie morskie polskiego wybrzeża". Pierwsza — że latarnia, której pilnował sienkiewiczowski „Latarnik", w rzeczywistości nigdy nie istniała i że bohater noweli Skawiński nigdy nie był latarnikiem. Druga — że Żeromski nigdy nie nocował w latarni rozewskiej, że był tam najwyżej dwa razy jako zwykły turysta, a cała sprawa została wymyślona przez żądnego poklasku latarnika Leona Wzorka. Z wielkim więc żalem i my rozstajemy się z pięknymi legendami, pocieszając się, że nic to jednak nie zaszkodzi dziełom obu pisarzy.

ZADUMAŁEM SIĘ NIECO nad proporcjami różnych spraw, publikowanymi w naszej prasie. „Tygodnik Kulturalny" w nr 13 dał informację „Wyróżnieni działacze kultury", podając same tylko imiona i nazwiska osób, które otrzymały odznakę Zasłużonego Działacza Kultury. Nawet nie wiadomo, kto jest kim i skąd i za co odznakę otrzymał. Natomiast „Trybuna Ludu" w nr 87 opublikowała nazwiska kolarzy, którzy mają (ale nie wiadomo, czy będą) startować w Wyścigu Pokoju. Przy każdym nazwisku biografia po ok. 15 wierszy druku, łącznie z podaniem stanu cywilnego.

PAMIĘTAMY ZESZŁOROCZNĄ WĘDRÓWKĘ żubra „Pulpita", który przemaszerował kilkaset kilometrów po ojczyźnie. Sprawił tym kłopoty władzom, ale fantazją i umiłowaniem wolności zyskał sobie sympatię społeczeństwa. Ostatnio dowiedziałem się, że „Pulpit" ma być zamknięty w krakowskim ZOO. Co na to Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami? Bo ja jestem oburzony!

JOD

DO TYSIĘCZNEGO NUMERU „PRZYJAŹNI" (przy okazji — gratulacje), fotoreporterzy CAF (Stanisław Czarnogórski i Henryk Grzęda) przygotowali serię zdjęć: cztery rozneglizowane dziewczęta i na ich tle liczba 1000. Pomysł może i nie najgorszy, ale czy z takiej okazji nie udało się znaleźć modelek nieco... ładniejszych?

Z KOMUNIKATU MO („Sztandar Ludu" z 28.III.): „25 marca (...) została potrącona przechodząca przez jezdnię kobieta. Wskutek doznanych obrażeń kobieta ta zmarła nie posiadając przy sobie żadnych dokumentów (...) Rysopis p o s z k o d o w a n e j...".

A gdyby p o s z k o d o w a n a miała przy sobie dokumenty, uratowałoby to jej życie?

Inny komunikat MO („Kurier Lubelski" z 27.III.): „16 lutego br. w godzinach wieczornych na ul. Godebskiego (...) oraz w Al. Racławickich (...), a także na pl. Litewskim przez grupę młodzieży (jedna z dziewcząt niskiego wzrostu, z czarnymi włosami uczesana w kucyki), zostali pobici mężczyźni. Poszkodowani..." Mężczyźni: unikajcie dziewcząt niskiego wzrostu z czarnymi włosami uczesanymi w kucyki!

moje 3 grosze

MOJE 3 GROSZE: Drogi Leszku, zawsze jestem pilnym czytelnikiem Twoich felietonów, ale do białej gorączki doprowadza mnie oglądanie tej kosmarnej winietki! W Lublinie chyba łatwiej o felietonistę niż o grafika?

MAJ

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Krystyna Jabłońska — Oktawia, opowieść o Oktawii Zerombskiej, Lublin 1967, wydanie II;

Matylda Wełna — Polne kamienie, Lublin 1968, wydanie I;

Aleksander Omiljanowicz — Barykada, Lublin 1968, wydanie I;

Jalu Kurek — Otelia, Lubelska Biblioteka Poetycka, Lublin 1968, wydanie I;

Kalendarz Lubelski 1968, Lublin 1968.

„CZYTELNIK"

Zofia Nałkowska — Choucas, powieść internacjonalna, Warszawa 1968, wydanie II;

Igor Newerly — Archipelag ludzi odzyskanych, opowieść historyczna z roku 1948, Warszawa 1968, wydanie XI;

Eliza Orzeszkowa — Cudziel potęgi, Warszawa 1968, wydanie IV;

Janina Porazińska — W Wojtusiowej izbie, Warszawa 1968, wydanie XI.

Z ZAGRANICY

R. W. B. Lewis — Trials Of The Word, Essays in American and the Humanistic Tradition, New Haven and London — Yale University Press;

Michel Giraud — Jacques Audiberti, Classiques du XX Siècle Editions Universitaires Paris;

Jurgen v. Stackelberg — Drei Dichter als Kritiker (Andre Gide, Marcel Proust, Paul Valéry), Wandenhoeck Ruprecht in Göttingen 1968.